

Sielanka nieróżowa



ELIZA ORZESZKOWA

Sielanka nieróżowa

Z szerokich i ludnych ulic miasta, ku krętym i cichym uliczkom zarzecznego przedmieścia, biegła dziewczynka dziesięcioletnia, chuda, zwinna, w grubej spodnicy przepasującej podartą koszulę, z bosemi stopami i ogromnymi włosy, wśród których mieszały się połyski złota i miedzi.

Biegła szybko, czarne, zapadłe oczy, szeroko otwierała i od chwili do chwili, podnosząc, to opuszczając ramiona, zdawała się trzepotać niemi, jak ptak skrzydłami. Od chwili do chwili też wołała:

— Władek! Władek!

Nagle przed biegnącą tak dziewczynką ozwał się szept stłumiony, lecz gwałtowny:

— Stój! ptaki mi spłoszysz! stój-że, Marcysiu! cicho!

Stała jak wryta. Cała twarz jej, zniecierpliwiona i zmęczona przed chwilą, drgnęła uśmiechem radości, a szeroko rozwarte oczy utkwily w istocie ludzkiej, która stłumionymi wykrzykami nakazywała jej spokój i milczenie.

Był to chłopak o lat parę od niej starszy, z odzieży wyglądający na ulicznego obdartusa, z twarzą roztopną, przebiegłą nawet, z siwem okiem, palającym pod brwią żółtopłową. Stał on, plecami przyciśnięty do płotu, z jednej strony osłoniony przed wzrokiem przechodniów ścianą szarą jakiejś budowy, z drugiej grubym pniem uschłej topoli; twarz podniósł wysoko, oczy z rozżarzoną źrenicą wlepił w dach przeciwległego domowstwa, a pod ramieniem trzymał gołębia o ceglasto-różowych skrzydłach, który przynajmniej nie znajdując się, podnosił też dziób, patrzył na dach przeciwległy i kiedy niekiedy tylko, odzywał się cichym, urywanym gruchaniem.

Na dachu przeciwległym siedziało liczne stado gołębi.

Uliczka przedmiejska, niebrukowana i trawą porośnięta, cichą była i w tej chwili prawie bezludną. Gdzie niedzie za płotami pracowali w ogrodach ludzie, za oknami odzywało się stukanie, lub zgrzytanie rzemieślniczego narzędzia, tu i owdzie rozległ się swar jakiś, czasem śmiech, ale ulicą nie przechodził i nie spoglądał na nią nikt. Przedwieczorna cisza ta przyjazną snadź była dla zamiarów chłopca czatującego widocznie na coś, z gołębiem pod ramieniem. Zrozumiała to Marcysia i, na palcach skradając się zbliżyła się do chłopca, stanęła tuż przy nim i z ciekawością połączoną z odcieniem obawy, utkwiała wzrok w stadzie ptactwa, obsiadającym dach przeciwległy.

— Władek — szepnęła cichutko — czy one jeszcze nie podlatywały?

— Nie jeszcze! — odszepnął chłopak. — Bodaj ich *korszun*¹ zdusił! — zaklął po chwili — siedzą i siedzą!

— A *przewodnika* masz? — zapytała Marcysia.

— No, a jakże!

I wysunął nieco z pod ramienia różowego gołębia, ukazując go Marcysi. Dziewczynka przesunęła drobną, ciemną dłoń po jedwabistym skrzydle ptaka.

— Lubuś! Lubuś! oj ty Lubuś! — szeptała, zbliżając usta ku jego dziobowi.

— Wiész? — tajemniczo i wciąż patrząc w górę, szeptał chłopak — szewczyisko to umie dobrze gołębie hodować! Ile mu już ich Lubuś mój uprowadził... żebyś tyle rubli miał, panem był-bym! a dlatego gołębi u niego coraz więcej! No, już ja im w tym roku poradzę!... Jak chcę być bogatym, uprowadzę wszystkie i tylko dwie pary na rozplód zostawię; niech szewczyisko pęka ze złości! Co on mi zrobi!

¹*korszun* — tak lud nazywa w niektórych stronach kraju pewien gatunek jastrzębi. [przypis autorski]

Zaledwie dokończył wyrazy te, kilka gołębi siwych i białych wleciało z nad dachu i prostopadłym lotem wzbilo się w górę. Chłopak drgnął.

— Ruszajcie się, dziatki! no, ruszajcie się! — zawołał prawie głośno.

W chwilę potem obsiadające dach stado całe zerwało się jednocześnie i nappełniło powietrze migotaniem i szelestem skrzydeł, a chłopak w obie ręce ujął różowego gołębia swego, który drżał też jakby z niecierpliwości, podniósł go jak mógł, najwyżej i rzucił w przestrzeń; ptak rozwinął szeroko skrzydła i błyskawicznym pędem wpadł w migotliwą i choralnie gruchającą chmurę gołębi. Wtedy zaczęły odbywać się w powietrzu łowy i porozumiewania się szczególne.

Przy zbliżającym się wieczorze, niebo miało barwę liliową i usiane było szmatami obłoków, które blask słońca za mury miejskie zachodzącego, złocił i czerwienił. Pomiedzy gromadą jaskrawych, wełnistych chmur, rozsianych pod bladym niebem, a długim dachem domostwa, na którym rósł mech starości i leżały gałęzie kilku drzew rozłożystych, odbywały się napowietrzne igrzyska ptasie, przedstawiające gołębia-mistrza, usiłującego wywieść z pomiędzy stada i za sobą uprowadzić potulnych i nieuczonych spółbraci. Śród migotliwej chmury białych i siwych skrzydeł, różowy „przewodnik,” skąpany w jaskrawym blasku obłoków, niby skrzydlaty płomień krążył i podlatywał, drogę zabiegał, skrzydłami o skrzydła uderzał, mieszał się z ogólnym kołem, to z niego wyosabniał, w oczy zda się towarzyszącom zaglądał, gruchając namawiał, jakby prosił za sobą, drogę wskazywał... Stado skupiało się wokół niego, to rozpraszało trwożnie, lub swobodnie osiadało na dachu i kołysząc się pod nim gałęziach drzew, to znowu wzbijało się w lot wysoki i zawisało nieruchomo pod złotymi chmurami.

A gdy tak działo się w górze, na dole, pod bladawym ogrodzeniem wązkiej uliczki, pomiędzy węglem szarego spichrza a pnem uschłego drzewa, dwoje dzieci stało, ściśle tuląc się ku sobie, wzniesionymi w górę oczyma ścigając każde poruszenie ptaków, ciężko i szybko oddychając. Na obie dziecinne twarze ich wybiły się gorączkowe rumieńce i można było nieledwie słyszeć gwałtowne bicie ich serc.

Były to istne łowy, ale szczególne. Zamiast lasów cienistych lub rozległych błoni, polem ich była ciasna uliczka przedmiejska i powietrze złote od przedwieczornych świateł. Zamiast świetnych, strojnych myśliwców było tu dwoje dzieci obdartych i bosych, kryjących się za drzewa, z drżącymi wargami i palającym, namiętym wzrokiem. Sokoła zastępował tu różowy gołąb, Lubuś, a zdobyczą miały być także gołębie, których uprowadzanie za pomocą hodowanych w tym celu „przewodników” stanowi rozkosz, chlubę i źródło dochodu ulicznych dzieci.

Nagle, przyciszonym, lecz radością nabrzmiałym głosem, Władek zawołał:

— Aha! prowadzi!

Marcysia podskoczyła parę razy tak, jakby ku gołębiom zrywała się do lotu i szepnęła także:

— Prowadzi! prowadzi! prowadzi!

Lubuś wyosobnił się z pomiędzy stada i, uleciawszy niewielką przestrzeń, zawisł w powietrzu. Chwilę tylko pozostał samotny. Od stada odłączył się ku niemu i pożeglował jeden naprzód, potem drugi, trzeci, czwarty gołąb. Leciwały sznurem, a potem okrążyły przewodnika po wiele razy i coraz ciasniejszym kołem. Gdy w ten sposób utworzyła się spora już gromadka, odosobniona od wielkiej gromady, która teraz cicho, niby w zamieszaniu czy smutku, na dach omszony opadła, Labuś wzbil się wyżej i szybkim lotem pomknął ku zielonej ścianie jaru, ukazującej się w dali z za szarych domowstw. Za nim lecieli uwiedzeni przez niego towarzysze. Było ich sześciu.

— Sześć! sześć! — klaszcząc w dłonie, zawołał chłopak, i z całą szybkością nóg swych zwinnych i nieobutych, puścił się uliczką, skręcił potem na inną, i znowu na inną, dla skrócenia sobie drogi, przeskakiwał płoty, zdawało się, że lotem ptaka chciał-by dosięgnąć zielonej ściany jaru. Za nim biegła Marcysia, z całej siły zdyszanej piersi krzyząc:

— Sześć! sześć! — a potem: — Władek! poczekaj! stój!

Ale Władek nie stawał i nie czekał na nią, a ona, mniejsza i słabsza, zdawała się co chwila upadać ze zmęczenia. Lecz szczęśliwy wynik polowania nappełnił ją nieprzytomną prawie radością, która podnosiła ją jakby z nad ziemi.

Tak zdyszane, rozognione, z błyszczącymi oczyma i rozwianymi na wiatr włosy, po przez uliczki, podwórka i ogrodzenia, dzieci te biegly tam, kędy górą, wysoko po nad niemi, leciał sznur gołębi ku zielonemu jarowi i wiszącej u ściany jego, szarej chatce z niskim płotkiem, pnącym się w górę i otaczającym mały, mizerny ogródek. Jar, chatka, płotek i ogródek, ukazały się w dali... w dali... pod samym już skłonem liliowego nieba i w siniej mgłę oddalenia, w której po chwili zniknęły gołębie i dzieci.

Dziwne to było miejsce, dzikie, choć znajdowało się w obrębie jeszcze ludnego miasta, świetliste i ciemne zarazem. Mgła, w której ukazywało się ono z oddali, nie powstawała z samej tylko odległości, ale podnosiła się też z nad sadzawki, nieruchomo zalegającej dno jaru, a nad którą w jednym miejscu rosło kilka bardzo starych wierzb. Drzewa te miały pnie grube, w różne strony pokrzywione, i szeroko rozpostarte obwisłe gałęzie, któremi muskały zieloną powierzchnią wody. W przedwieczornej porze, głębia ta jaru pograżała się już w grubym zmroku; za sadzawką tylko i wierzbami, przez wązki otwór dwóch ścian wysokich, przeglądało złote jeszcze od słońca pole, i kiedy niekiedy przybywający ztamtąd promyk, przedzierając gęste cienie, spadał na wodę lub wił się w berbersach, głogach i dzikich agrestach, rosnących tam gajem niskim i kolczatym. Ale z pomiędzy niskiego gaju tego, zrzadka rozświetlanego błędnym promieniem słońca, wybiegała wązka ścieżka, wydeptana i bielejąca wśród trawy, i wspinała się po jednej ze ścian jaru, kędy było coraz widniej, aż ku domkowi z ogródkiem i płotkiem, oblewanemu już w pełni wszystkimi światłociami rozjaskrawionych przedwieczornych obłoków. Małe okna domku tego, czy tej chatki, czerwone były jak rubiny, w których przegląda się płomień; płotek wydawał się ognistym wężem, a rosnące w ogródku dwie mizerne grusze trzęsły liśćmi, jak kroplami złotej rosy. Naprzeciw, za przeciwległą, odginającą się w tył, ścianą jaru, na stoku wysokiej góry, stało miasto rozległe, za którego murami, słońce skryło się już zupełnie. Ale u szczytów wież kościelnych, krzyże paliły się, jak lotne płomyki, wszystkie okna domowstw drżały złotem i purpurą, zieleń ogrodów kapała się w falującym morzu światła, z kominów dymy ulatywały tysiącem wstęg różowych, sinych, srebrnych i płynęły ku górze, kędy w cichym spokoju słały się pod bladym niebem lekkie i świetne puchy obłoków.

W chatce, wiszącej u ściany jaru, nie było snadź nikogo, bo za rubinowymi okienkami panowała cisza zupełna. Nagle załopotwały w powietrzu skrzydła; górą przeleciały gołębie i sznurem usiadły na dachu chaty. W téjże prawie chwili, na ścieżce, wiodącej ku przedmieściu, zatętniał bieg szybki; Władek zziązany, z włosami rozwianymi i roztwartą u piersi koszulą, przypadł do węgła chaty, wyciągnął w górę ramiona i, w mgnieniu oka z chyżością i zwinnością kocią, wdarłszy się na ścianę, stanął na dachu. Wtedy ukazała się też biegnąca ścieżką Marcysia i, bez tchu prawie, z widoczną wprawą w tego rodzaju ćwiczenia, czepiając się wystających belek ściany i gałęzi rosnącego tuż młodego drzewka, poszła w ślady towarzysza. Po chwili stali oboje na dachu chaty i, szeroko, prędko oddychając, głośno śmiać się zaczęli.

— Oto udało się! — zawołał Władek.

— Udało się! — powtórzyła dziewczynka i, schyliwszy się, wzięła w obie dłonie różowego gołębia-przewodnika.

— Dobry Lubuś! kochany Lubuś! — mówiła przerywanym jeszcze od zmęczenia głosem i całowała jedwabiste skrzydła i czupurną główkę ptaka.

Władek tymczasem oddawał się praktyczniejszemu zajęciu. Otworzył kłapę, zamykającą drewniany, o wązkiem okienku, rodzaj gołębnika, na-pół okrytego zielskiem i lato-roślami, obrastającymi starą strzechę dachu, i poumieszczał w nim wszystkie z kolei, za Lubusiem przybyłe, gołębie. Skończywszy, zamknął kłapę i usiadł.

Dach był dość spadzisty, ale dzieci wygodnie siedzieć na nim mogły, bo starość wyla-mała go w zagłębienia i wypukłości liczne. Plecami wsparci o mały gołębnik, nagie stopy oparły o giętkie płonki wierzbowe, które zasiał tam wiatr, nanoszący co roku warstwę piasku szczyt stariej chaty.

— Ot i dobrze! — zaczął Władek — stariej w domu niema, to i nic wiedzieć nie będzie o naszych dzisiejszych gościach... gdyby wiedziała, toby mnie, jak zawsze, męczyła: „a gdzie pieniądze, co wziął za gołębie?” I oddać-bym musiał choć połowę... A tak, jutro sprzedam i nic nie oddam!...

— A co ty z temi pieniędzmi zrobisz? — zapytała Marcysia.

— Ot co? najem się i piwka sobie wypiję... takim zawsze głodny, że aż strach... Stara dziś kielbasę jadła i piwo piła, a ja tylko, patrząc, ślinkę lękałem... taka już ona... mnie kawałek suchego chleba da i krupniku czarnego odrobinę, a sama i ze znajomymi swymi hula sobie!

— Aj, zapomniałam! — zawołała nagle Marcysia.

— Czegoś zapomniała?..

Zamiast odpowiedzi, dziewczynka wyjęła z za koszuli dwa duże obwarzanki i, śmiejąc się na głos cały, pokazała je chłopcu.

Wyciągnął po nie rękę.

— Daj! — zawołał.

— Czekać! dam sama! ot masz!

I oddała mu jeden z obwarzanków, a drugi chciwie do ust własnych poniosła.

— Jezus! Maryja! dobrze, że nie zgubiłam! — zawołała po chwili.

— Aha! — odpowiedział Włodek — mogłaś zgubić! leciałaś, jak waryatka!

Dziewczynka pochyliła się i figlarnie mu w twarz spojrzała.

— A co? — zapytała — smaczne?

Włodek skrzywił się.

— Nie bardzo! — odrzekł — ale co robić! Kiedy taka już niedola nasza, to i suchy obwarzanek lepszy, niż nic! a z kąd ty to wzięłaś?

Wyciągnęła palec w kierunku miasta.

— Tam, na ulicy, jakaś pani dała mi trzy grosze, to i kupiłam...

— Żebrałaś? — zapytał chłopak.

— A jużci!

— No, no! — mówił, wstrząsając głową — jakie te dziewczyny szczęśliwe! im zawsze prędzej dadzą, niż nam... Mnie już dawno nikt nic dać nie chce...

— Bo ty już wielki, a ja jeszcze mała.

— Wielki! ot szczęście! to i więcej jeść mi trzeba... a z kąd ja wezmę... Stryj ciągle gada, że do rzemiosła mię odda, ale obiecanka cacanka a głupiemu radość... I co mi tam zresztą rzemieślnikiem być? ot żeby tak panem sobie zostać, to co innego...

Marcysia nic nie odpowiedziała. Gryzła obwarzanek, a po chwili wyciągnęła palec w kierunku jednego z mniejszych domów miejskich i zawołała:

— O! widzisz! to dom pana ogrodnika, który ciebie przeszłego roku do kopania najmował. Ot tam to ślicznie! aj! jak ślicznie!

— A ślicznie! — potwierdził Włodek — bo ogrodniczyisko strasznie bogate! jak ja będę bogatym, to sobie ten dom kupię.

A po chwili dodał:

— Z tobą ożenię się i będziemy tam sobie razem mieszkać!...

Dziewczynka uśmiechnęła się.

— O, to dobrze będzie! — rzekła i poważniej zapytała:

— A z kąd ty, Włodek, weźmiesz bogactwo?

Włodek zamyślił się, a potem odpowiedział:

— Albo ja wiem z kąd? ale, że z kądciś wziąć muszę, to muszę. Tak mi już zbrzydło to psie życie... że aż...

Splunął, a potem prawil dalej:

— Bo czy sprawiedliwie na świecie? jeden ma wszystkiego po uszy, a drugi nic... jeden paniczem sobie jest, nie wiadomo za co, a drugi takim ot obdartusem, jak ja... także niewiadomo za co! Ciotka wymawia ciągle, że tylko karmić mię musi, a nic ze mnie nie ma? Ciekawym, co ona ze mnie może mieć? W przeszłym roku kopałem po ogrodach i zielsko taczkami wozilem, to i cóż? czy lepsza dla mnie była? gdzie tam! jeszcze, pod jesień jakoś, ojciec przywłókł się do chaty i wybił mnie... Ot dobrze tobie, że ojca nie masz... bił-by...

Marcysi usta zadrżały jakby do płaczu.

— Matka bije... — szepnęła.

— Ej, to tylko czasem, jak upije się! — pocieszał Włodek — a jak trzeźwa, to całuje, piosenek uczy i bajki gada... mnie nigdy nikt dobrego słowa nie powie... Aj nędza!.. Ot tak czasem człowiek ze zgrzyzoty rzucił-by się w tę sadzawkę...

— Aj, aj! — przeraźliwie krzyknęła Marcysia.

Władek spójrział na nią ze zdziwieniem.

— Czego wrzeszczysz? — zapytał.

— Tak przeleżałam się! — skarżyła się dziewczynka — żebyś ty rzucił się w sadzawkę, tobyś utonął i umarł.

— No, a jakbym umarł, to i co?

Marcysia przerażonymi oczyma wpatrzyła się w niego.

— To... to... toby ciebie nie było... — odpowiedziała cicho.

— Nie było mnie, był świat, nie będzie mnie, będzie świat — przypatrując się bosym nogom swym, sentencjonalnym tonem odparł chłopiec, ale spójrział potem na Marcysię i zawołał:

— No i czegoż tak oczy wytrzeszczyłaś... ot i beczyć już zaczynasz... no, no — mówił dalej — nie lękaj się tak, nie utopię się... bogatym kiedyś będę i ożenię się z tobą... Będziem sobie jedli, pili, na spacer pod rękę chodzili i... ja ciebie nigdy nie opuszczę... aż do śmierci... tak mi Panie Boże dopomóż...

Łagodnym ruchem powiódł dłonią po ognistych jej włosach, a potem wyciągnął się leniwie, obie ręce za głowę założył, i twarzą zwrócony ku obłokom, wlepił błyszczący wzrok w jeden punkt nieba. Szare oczy jego, ocienione płowymi brwiami, miały w tej chwili wyraz wcale niedzięczyny. Odbijało się w nich marzenie jakieś niespokojne i namiętne. Po ściągłej, chudej twarzy przelatywały drgnienia i uśmiechy. Marcysia, pochylona nad nim, z twarzą opartą na dłoni, kołysała się z lekka i głęboko nad czémś myślała.

— Władek! — ozwała się z cicha po chwili.

— A co? — zapytał.

— Ja tobie jutro znów obwarzanek przyniosę, a może bułkę.

— Wyżebrzesz znów?

— Aha!

— Dobrze! przyniesiesz! a może i papieroska gdzie znów znajdziesz, to przyniesiesz, a ja jak gołębie sprzedam, kupię dla ciebie dwa cukierki.

— Aj, aj! cukierki! — zawołała i cała twarz jej stanęła w promieniach niewymownej radości.

— Władek — szepnęła znowu.

— A co?

— Ja jutro pójdę do jaru, fartuszek berberysu nabieram i na mieście go sprzedam... czy ty pomożesz mi zbierać berberys?

— A czemu nie? pomogę.

— Jak sprzedam, to pieniądze ci oddam, kupisz sobie ładną chusteczkę na szyję.

— Ot chusteczkę! nie chusteczkę, ale haczyki do wędki! pójdziem do rzeki ryby łowić! dobrze?

Klasnęła w ręce.

— Aj, dobrze! dobrze!

Umilkli i wyprostowali się, bo w pobliżu dały się słyszeć stąpania.

Słońce zaszło już całkiem. Na wieżach kościelnych pogasły płomienne krzyże, okna domów miejskich zczerniały, w dole, u stóp wysokiej ściany jaru z przyczepioną do niej chatą, na której dachu siedziało dwoje dzieci, czarno już było zupełnie, a wśród czerności tej drżały ciche szумы, cichsze jeszcze pluskania. W chłodną tę zapadlinę zalatywał już wiatr nocny i chwiejącymi się gałęzmi wierzb mącił śpiącą wodę. Na ścieżce, od przedmieścia wiodącej, ukazała się w zmięczeniu postać kobieca, niska, gruba, wielką chustą okryta i ciężkimi krokami zbliżała się ku chacie.

— Stara już idzie! — szepnęła Władek — zaraz zawoła mnie... idź ty już sobie, Marcysiu, bo jak zobaczy nas na dachu, domyśli się zaraz, żeśmy gołębia przywiedli!

— Dobranoc! — szepnęła Marcysia.

— Dobranoc!

Zarzuciła mu na szyję ramiona i pocałowali się.

W chwilę potem, młode drzewko rosnące, przy ścianie chaty, zaszleściło i zachwiało się; Marcysia zsunęła się z niego cicho, lekko jak cień, chyłkiem pomknęła pod niskim plotkiem i, okrążając zdala kobietę, idącą ścieżką, niepostrzeżona przez nią, zbiegła z pochyłości jaru i wolniej już dążyć zaczęła ku tłoczącym się tłumnie nad brzegiem rzeki

domom i domkom przedmieścia. Idąc, poważnie skrzyżowała ramiona i najdonośniej, jak mogła, śpiewać zaczęła:

„Pod drzewem, przy drodze,
Spało sierot dwoje,
Drzewo się złamało,
Zabiło oboje, za-bi-ło oboje!”

Dziecinny głosik jój, podobny do srebrnego dzwonka, wzbijał się w górę i dolatywał ku chacie, której drzwi stara kobieta otwierała ze zgrzytem i stukiem.

— Władek! — krzyknęła, obracając klucz w zamku.

Chłopiec leżący na dachu milczał.

— Władek! — podnosząc głowę i starając się spojrzeć na dach, powtórzyła kobieta — chodziłeś dziś na gołębie, czy nie?

Władek milczał.

— Niema go tam, czy co? — mruzczała stara — pewno nic dziś nie upolował i chowa się teraz przede mną, albo może i po ulicach włóczy się... nicpoń... ulicznik... łotr jakiś...

Z ostatnimi wyrazami weszła do chaty i ze stukiem drzwi za sobą na klucz zamknęła.

— Nocuj-że sobie na podwórzu, kiedyś taki...

W tej samej chwili, z dołu i zmroku doleciał znowu cieniutki, lecz donośny i czysty głos, śpiewającej Marcysii:

„Oboje zabiło,
Oj, dobrze zrobiło,
Żadne nie zostało,
By z żalu płakało, by z żalu pła-ka-ło.

Władek z podniesioną głową i wyteżonym uchem słuchał, a gdy srebrny głosik zamilkł w oddaleniu rzekł:

— Oto śpiewa! aż dusza rośnie!

Z zarzecznego przedmieścia, z pomiędzy labiryntu domków i płotków, wychodziła czasem na miasto kobieta, nędznie ubrana, dość młoda jeszcze i ładna snadź niegdyś, lecz teraz ze zniszczoną, wyżółkłą, zbolałą twarzą. Chód jój i ruchy były czasem zgrabne i pewnym nawet wdziękiem nacechowane, najczęściej jednak bezładne i chwiejne. Mieszkanki przedmieścia, gdy spotykały ją, idącą krokiem takim chwiejnym, z cikliwym bo bezmyślnym uśmiechem na ustach, a gorączkowym ogniem w czarném, piękném snadź niegdyś oku, mawiały:

— Ot i znowu Elżbietka nasza dogodziła sobie!

— Upiła się! — dodawały inne i, śmiejąc się, wołały:

— Elżbietko! hej, Elżbietko! hulasz dziś sobie po świetle, a gdzie twoja Marcysia?

Czasem kobieta wstrząsnęła żałośnie głową i odpowiadała:

— O Boże, mój Boże! gdzie ona? alboż nie wiecie? nieboractwo tuła się po ulicach! Biedna dziecina moja, biedny mój robaczek maleńki...

I zaczynała na głos szlochać.

Nierzadko przecież wzmianka o córce, zamiast rozczulenia, wywoływała w niej gniew. Wtedy odkrzykiwała sąsiadkom:

— A lichu ją wie, tę włóczęgę, gdzie ona włóczy się od rana do nocy! Na sznurku w chacie nie utrzymasz! Oj, żeby ja była dziewczyny tej...

Resztę dopowiadała niezrozumiałém, belkotliwém mruzczeniem i wchodziła do jednego z szynków, które wystawami butelek, błyszczących różnobarwnymi płyny, znaczyły każde załamywanie się podrzędnych ulic miasta.

Stan taki nie był przecież u Elżbietki zwykłym i ciągłym. Miewała ona niekiedy tygodnie i miesiące trzeźwości i pracowitości, podczas których posługiwała osobom, nie dość zamożnym, aby móżdż utrzymywać stałą służącą. Zamiatła mieszkania, myła podłogi, paliła w piecach, nosiła wodę, czasem nawet prała i szyła, a wszystkie czynności te spełniała z wielką wprawą, ochotą i zręcznością. Dla przymiotów tych, jak też może

dla szczególnego wyrazu jęj twarzy, bo w czarnych oczach jęj leżał na dnie przepaścisty smutek, a w uśmiechu wywiędrych ust była miękka rzewność, lubiono ją powszechnie i ubiegano się o jęj usługi. Niektórzy namawiali ją, aby przyjęła gdziekolwiek służbę stałą. Słyszając to, Elżbietka, spuszczała powieki i z cicha mówiła:

— Kiedyś... służyłam po domach i... było mi niezłe... ale teraz!... co to już o tém i mówić!

Zamiatając, albo ścieląc łóżka, patrzała w ziemię, a na żółtém czole jęj powstawało kilka grubych zmarszczek. W rzadkich chwilach skłonności do wywnętrzania się, mówiła:

— A cóżbym ja z moją dziewczyniną zrobiła, gdybym w służbę poszła? Czy mię kto porządny weźmie do domu z dzieckiem, jeszcze z *takiem* dzieckiem?

A lękając się, aby słów jęj nie wytlómaczono na niekorzyść Marcysia, dodawała ciszej:

— Ona to nie gorsza, jak inne dzieci... może nawet lepsza... rozumna bardzo... ale ot! urodziła się inaczej...

W porach tych, w których Elżbietka pracowała i do szynków nie zachodziła, Marcysia rzadziej ukazywała się na ulicach miasta, a gdy się tam ukazała, była mniej chudą, brudną i obdartą. Nie żebrała też wtedy i unikała starannie hałaśliwych band ulicznych dzieci. Potém jednak przychodziły tygodnie i miesiące złe. Elżbietka przestawała chodzić na robotę do znajomych sobie domów, a mała Marcysia, zgłodniała znowu, zziębła i ołachmaniona, z sinemi śladami uderzeń na plecach i twarzy, zamieszkiwała znowu otwarty na wsze strony świat Boży, biegała za przechodniami ulic, prosząc o jałmużnę przyciszonym mrużeniem czasem, a często, gdy była głodna, milczącym wyciąganiem drobnej dłoni i ze łzą, kręcącą się w przygasłej źrenicy; na śmietnikach, nad rynsztokami zaułków, w ciasnych szyjkach tajemniczych podwórek, siedząc, gryzła czarne jak noc kromki chleba, sypiała pod kościołami lub drzewami publicznych ogrodów, a gzymsy kościelne i gałęzie drzew osłaniały ją od deszczów i śniegów i, spowijając cieniem swym szczupłą, skurczoną jęj postać, ukrywały ją też przed wzrokiem stróżów publicznego porządku.

Takie przecież noclegi pod kościołami i drzewami miejskimi zdarzały się w życiu nieczęsto, bo gdy obawa przed gniewnymi wybuchami nieprzytomnej matki, samotność i nuda, wypędzały ją z zimnego i ciasnego kąta, który nazywał się macierzyńskim jęj domem; najmilszą ochroną, były wierzby rosnące nad sadzawką w głębi jaru, albo miękkie i elastyczny od starości dach chaty, w której mieszkała stara Wierzbowa, ciotka i opiekunka Władka.

Z Władkiem znała się, odkąd zapamiętać mogła, że żyje. Elżbietka bywała często u Wierzbowej, która, zajmując się stręczeniem sług i pożyczaniem zubożałym służącym pieniędzy na zastaw i procent, dostarczała jęj sposobności zarobkowania, i po każdej burzliwej a próżniaczej epoce jęj życia, odrobiny pieniędzy, w zamian ostatnich nieprzepitych lachmanów i zobowiązań się na przyszłość ciężkich, odbierających ostatnią nadzieję wydobycia się z nędzy.

Kiedy Marcysia była jeszcze bardzo małą, Elżbietka przychodziła do Wierzbowej z dzieckiem na ręku i, wchodząc do chaty na długie a często burzliwe rozprawy, zostawiała je przed progiem. Wtedy Marcysia staczała się czasem po ślizkiej trawie, lub przymarzłym błocie, okrywającym stromą ścianę jaru, i wpadała do zielonawej sadzawki. Woda była tam spokojna i z brzegów płytka, niemniej dziecko, ogłuszone upadkiem, stłuczone i przestraszone, traciło przytomność i niemiało. Ratował ją wtedy Władek. W oka mgnieniu, kilku podskokami zbiegał on na dno jaru, wchodził w wodę po kostki, a czasem po kolana, brał dziewczynkę na ręce, a dlatego, żeby pręcej oschła i oprzytomniała, sadzał ją niby na krzesło, pomiędzy dwiema grubemi i wykrzywionemi gałęziami wierzby. Tam ogrzewało ją słońce i osuszał wiatr. Władek, zawieszony sam na gałęzi, w trwodze, aby nie spadła z drzewa, trzymał ją za kołnierz grubej koszuli; a czasem, gdy włosy jęj stały się już gęste i dość długie, — za włosy. Marcysia, budząc się z omdlenia, spostrzegła, że znajduje się na drzewie, i taką to ją napępniała radością, iż zapominając o przebytej katastrofie, wybuchała długim, głośnym chichotem. Władka nie lękała się nigdy, bo, patrząc na nią wtedy, śmiał się zawsze.

— Jakaś ty zabawna! — wołał — toczysz się w dół, jak piłka, i *plus!* do wody! Gdyby mnie nie było, została-byś w sadzawce i zjadły-by cię żaby!

Na to straszne przypuszczenie, Marcysia szeroko otwierała oczy i zapytywała:

— *Dzie ziaby?*

Zaledwie umiała wtedy mówić, a Władek, starszy od niej o trzy lata i posiadający już spory zasób doświadczenia życiowego, śmiał się do rozpuku z niewyraźnego i pieszczotliwego jęj szczebiotu. Przedrzeźniając ją, mówił:

— *Dzie ziaby?* nie widziałaś jeszcze żab! to dobrze! zaraz ci je pokażę!

Brał ją na ręce i znosił z drzewa, a potem szedł brzegiem sadzawki, szukając zielonych żabek, których tam znajdowała się moc wielka. Bosa był i w grube płótno odziany, a małutka dziewczynka bosa także, w roztwartej u piersi i mokrej jeszcze koszuli, szła za nim po trawie, która na wilgotnym, niskim gruncie, bujnie rosła i dosięgała czasem kolan chłopca a jęj ramion.

Nie zawsze zajmowały ich żaby. Czasem, siedząc z nią na drzewie, pokazywał jęj upatrzone już wprzód gniazda ptasie i, schyleni nad kołyszącą się pod niemi gałęzią, z otwartymi ustami i zapartym w piersiach oddechem, przypatrywali się małym stworzeniom, wychylającym z gniazda główki, okryte skosmaconém pierzem i oczekiwali przylotu matki. Gdy przylatywała, nie śmieli wzajem oznajmiać sobie o tém najcichszym szeptem, tylko trącali się łokciami, wyciągali w kierunku gniazda wskazujące palce, a obie twarze ich oblewały się wyrazem nieopisanęj radości.

Niekiedy, spuściwszy się z drzewa, wchodzili pomiędzy dzikie krzewy, wielką gęstwina obrastającą jeden bok sadzawki, obrywali i zjadali drobny, zdziczały agrest, lub wstrząsali z całych sił swoich berberysowemi krzakami, aby spuścić sobie na głowy, ramiona i pod stopy deszcz koralowych jagód.

Wszystkie zabawy te trwały póty, dopóki w górze nie ozwał się głos Elżbietki, niespokojnie i niecierpliwie wołającęj Marcysi. Dziewczynka, na wołanie to, śpiesznie i gorliwie zaczynała wdrapywać się na ścianę jaru; ale gdy usiłowania jęj w tęg mierze okazywały się bezowocnemi, Władek brał ją na ręce i uszczęśliwioną, śmiejącą się, w szerokich podskokach, wnosił na górę.

Elżbietka, która od Wierzbowęj wychodziła najczęściej zapłakana, a nierzadko napol już tylko przytomna, (wieść niosła, że Wierzbowa, dla lepszego ciągnienia z nich korzyści, usiłowała rozpajać swoje klientki), ujrawszy Marcysię, porywała ją z rąk chłopca z gwałtownością taką, że śmiech jęj w mgnieniu oka zmieniał się w płacz. I gdy Elżbietka z gniewném mručeniem, lub posępnie spuszczonej oczyma, zstępowała w dół, ścieżką ku przedmieściu wiodącą, dziewczynka wciąż oglądała się i oczyma, w których łzy stały, szukała Władka. On stał najczęściej u szczytu ścieżki, i dopóki nie zniknęła mu z oczu, podskakiwał, wyrzucał nogami i wykrzywił się do niej tak, że znowu na głos cały śmiać się zaczynała. Czasem rzucał za nią, zerwane w jarze, pęki berberysowych gałęzi, a ona wyciągała po nie ręce i, zwieszona cała na ramieniu matki, podskakiwała tak, jakby ku niemu ulecieć chciała.

Raz, gdy, mając już lat pięć, przysła tam z matką, Władek zapytał ją, dla czego sama nie przychodzi nigdy do jaru.

— Boisz się, czy drogi jeszcze nie znasz? — mówił. — Jeżeli boisz się, toś głupia, bo wilki cię tu nie zjedzą, a jeżeli drogi nie znasz, to kiedy z matką idziesz, lepiej oczy wytrzeszczaj! Wielka już jesteś, możesz sama po świecie chodzić!

Po krótkim namyśle dziewczynka rzekła:

— Jutro przylecę!

— Przyleć! — odpowiedział, i z powagą dodał: — do miasta cię zaprowadzę. Zobaczysz, jak tam ładnie!

Niewiadomo, czy perspektywa jutrzęjszęj samodzielnej wyprawy nie dała nocy tęg spać Marcysi, czy tęg zbudziła ją matka, która o brzasku dnia zerwała się z nędznej postęli, chwyciła garstkę drobnej monety, otrzymanęj wczoraj od Wierzbowęj i wybiegła na miasto; dość, że sine poranne mgły owijały jeszcze jar i zwieszoną u ściany jego chatę, gdy ukazała się ona oczom Władka. Władek, który noc przespał pomiędzy wierzbami, tylko co obudził się i, siedząc nad sadzawką z łokciami opartemi na podniesionych kolanach i brodą w dłoniach, zaspanemi oczyma wpatrzony w nieruchomą wodę, głęboko dumał. Dziewczynka zawołała go z góry. Podniósł głowę i, ujrawszy drobną jęj postać, szarzącą wśród sinęj mgły, odkrzyknął:

— Chodź!

Zaczęła zstępować z góry, ale szło jęj to z trudnością nadzwyczajną. Ślizgała się na pochyłości, padała, podnosiła się i siadała znowu. Władek na wysilenia te jęj i niepowodzenia patrzył z niewzruszoną obojętnością.

— No, dalej! — mówił — dalej-że! śmiało! Upadłaś! nic nie szkodzi! nie rozbijesz się! szklana nie jesteś!

Szklana nie była w istocie, ale gdy poślizgnęła się ostatecznie i jak piłka stoczyła się w dół nad sam brzeg sadzawki, wrzasnęła głośnym płaczem. Zbliżył się do nięj i spojrzął na nią ze wzgardliwym politowaniem.

— Ot, jakie to te dziewczyny — rzekł — jak ja byłem w twoim wieku, tom już po górach skakał i po drzewach łąził, jak koza. Jeżeli będziesz wrzeszczeć — dodał — schwycę cię zaraz i het precz! za rzekę i miasto zarzucę...

W mgnieniu oka płakać przestała, a gdy wyjął z za koszuli kawał czarnego chleba i przelał go na dwoje, patrzyła na niego z uśmiechem błogięj nadziei na łzami zalanej twarzy. Wyciągnęła rękę i zawołała:

— Daj! daj! daj!

Siedzieli potęm obok siebie, pod krzakami berberysu, ociekającymi poranną rosą, i gryźli w milczeniu twarde kromki chleba. Mgła gęsta i podobna do siniego dymu, która o świcie dnia napęlniała jar aż po brzegi, przeredzać i w górę podnosić się zaczęła; spowite w nią wprzódy wierzby wysuwały teraz z za nięj gałęzie, niby ręce z pieluch odwijanych stopniowo; srebrnawe ich liście drżały z cichęm furczeniem, a na każdym z nich błyszczał brylant rosy. Na ciemną powierzchnię sadzawki spadł długim węzem złoty promień słońca i, dosięgłszy przybrzeżnych ajerów, rozsypał się na długich liściach ich w tak wielki rój iskier, że ścigające go wzrokiem dzieci jednocześnie zakryły dłońmi olśnione swe oczy. Gdy odjęły ręce od mrużących się powiek, wysokie ajery stały przed niemi w ogniu całe, za niemi ściana jaru wznosiła się, jak gorąco-różowa skała, w wierzbach i głogach ogłuszająco śpiewały ptaki, mgły sinięj nie pozostało już ani śladu, tylko powietrze przejęte było jeszcze chłodną wilgocią nocy i niziny.

Władek spojrzął w górę.

— Ot i dzień! — wyrzekł — tam, het precz z tego lasu, co naprzeciw miasta stoi, słońce wyszło!

— Czy słońce z lasu wychodzi? — zapytała Marcysia.

— Z lasu — odpowiedział poważnie — tam, naprzeciw miasta, het precz za polami, jest taki las, z którego słońce codzięń wychodzi.

— A potęm co?

— Potęm? czyż nie widzisz co? świeci na niebie.

— A potęm?

— Potęm... no, zachodzi za miasto, zachodzi... zachodzi... i niknie. Jak zniknie, to wtedy noc robi się...

Dziewczynka zamyśliła się i po chwili zapytała znowu:

— A czy ty wiesz, dokąd ono idzie?

— Kto? słońce? dokąd-że iść ma? pod ziemię sobie idzie i śpi.

— Aha! — tonem tryumfu ciągnęła Marcysia — ale czy ty wiesz, jak słońce śpi?

— A jak ono ma spać? — odpowiedział — zwyczajnie... oczy zamknie i śpi.

— Otóż nie! otóż nie! — uderzając piąstką jednęj ręki w dłoń drugięj, zawołała dziewczynka — słońce śpi w takięj wielkięj, czerwonej kołysce, przy kołysce siedzi morze i przez całą noc kołysze słońce, żeby dobrze spało, a naokoło leżą gwiazdy, ale nie śpią, bo pilnują, żeby nie przyleciał ten smok, co konno na wietrze jeździ i nie zjadł słońca, bo jakby smok zjadł słońce, nigdy-by już dnia nie było, żyto by nie rosło, zwierzęta-by poumieraly, a ludzie pozjadali-by po ciemku jedni drugich...

Gdy opowiadała, Władek patrzył na nią z ciekawością i zdziwieniem.

— A zkad ty to wiesz? — zapytał.

— Matka mówiła; mnie matka czasem mówi takie śliczne, śliczne bajki.

— Aha! — rzekł Władek z namysłem — to bajka. No — dodał, wstając — chodźmy do miasta!

Marcysia podskoczyła z radości.

Poszli. Gdy wchodzili na most, zwieszony nad rzeką, przedzielającą przedmieście zarzeczne z miastem, Marcysia bardzo lękać się zaczęła. Było tam dużo ludzi, idących i jadących na targ, wozów, koni. Władek wziął ją za rękę i tłómaczyć jęj zaczął wszystkie niezrozumiałe dla nięj, a jemu dobrze już znane, zjawiska.

— Ot — mówił — to jest rzeka, a to czółna, co przewożą ludzi z jednego brzegu na drugi, a to łódki płyną... rybaki na nich siedzą i ryby łowią...! no! nie bój się! koń cię nie ukąsi... a ten chłop nie na ciebie krzyczy...

Stanął i śmiać się zaczął do rozpuku.

— Aj! aj! aj! Franek! — wołał — aj, aj! jaki ten Franek zabawny! ściągnął chłopu z woza sér i uciekł... a chłop nie wie, gdzie sér podział się i wrzeszczy... ot żebym tylko potrafił, to-był też ściągnął... ale jeszcze nie dostanę ręką tak daleko...

Poszedł dalej i pociągnął za sobą Marcysię. Idąc, mruczał z cicha więcej do siebie, niż do nięj.

— No, że szczęśliwy, to szczęśliwy ten Franek! taki wielki ma sér! jak tylko podrosnę jeszcze trochę i ja tak samo potrafię...

Marcysia pokazywała mu na coś palcem, a tak była zachwycona, że słowa przemówić nie mogła. Zrozumiał nakoniec, że przedmiotem jęj zachwyty był stojący u wyjścia z mostu stragan z obwarzankami, bułkami i chlebem. Przed godziną zjedli wprawdzie po kawałku chleba, ale teraz, na widok rozłożonego na straganie pieczywa, uczyli oboje, że są bardzo głodni. Stanęli przed straganem i wlepili oczy w przedmioty, tak dla nich pojętne, że Władkowi aż usta drżać zaczęły, a wielkie oczy Marcysi napęłniły się łzami. Przy straganie siedziała przekupka i argusowemi oczyma strzegła towaru swego przed tłumem, który falą wielką napływał z mostu, a wśród którego zwijali się tu i owdzie chłopcy bosy, obdarci, z giętkimi ciałami i przebiegłym wzrokiem, i dziewczyny chude, rozczochrane, cierpiące, a chciwe spojrzenia rzucające dokoła.

— No — szepnął Władek do towarzyski swęj — chodźmy! nic my tu nie wskóramy! ta wiedźma pilnuje swoich bułek, jak dyabeł potępionęj duszy!

Było to już własnością chłopca tego, że gdy tylko czuł się rozjątrzonem, zaczynał mówić o dyablach i żółtawe brwi drgały mu nad ostro błyskającymi oczyma. Marcysia ocierała sobie piąstką zalzawione oczy.

— Przestań mazać się! — krzyknął na nią — jak jeszcze raz zapłaczesz, rzucę cię tu i rób sobie sama, co chcesz! Mażesz się, żeś bułki nie dostała... no, i mnie jeść chce się jak wszystkim dyablom, a czy becze! rozum lepszy jak beczenie! zobaczysz! wracając, kupim sobie kilka bułek...

Poszli dalej.

On miał wtedy lat ośm, ona pięć. Jego ubranie składało się z szarawarów płóciennych, krótkiego spencerka i grubęj koszuli, szeroko u piersi rozwartęj, jęj — z sinęj płócienkowęj spodniczki, przepasującęj koszulę, związaną u szyi brudną czerwoną tasiemką. On, na ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach miał czapkę zmiętą, wyplamioną i tak dla niego dużą, że co chwilę zsuwała mu się na oczy; ona nie miała na głowie nic, prócz włosów gęstych, jedwabistych, które gładkimi pasmami spływały na jęj ramiona i świeciły pod słońcem, jak gorąco roziskrzzone złoto. Oboje byli bosy.

Tak, trzymając się za ręce, weszli na ludne i pełne już ruchu ulice miasta. Tu, u wstępu zaraz, zabiegła im drogę gromadka chłopców, na której czele znajdował się Franek, ów, tak zręcznie ściągający sery z wozów chłopskich.

— Władek! Władek! — wołali z daleka, — chodź na rynek... chłopci z wozów brukwie i marchwie gubią... takie smaczne...

Jakoż w ręku każdego prawie z malców znajdowała się surowa brukiew lub marchew.

Spostrzegłszy Marcysię, Franek zawołał:

— A to, co za panna?

— To Marcysia! — z powagą odpowiedział Władek, i z całej siły uderzył pięścią jednego z chłopców, który przyskoczywszy, chciał uszczypnąć dziewczynkę w ramię.

Zaczęła-by się bójka, gdyby nie to, że środkiem ulicy przejeżdżał, opakowany i pocztowemi końmi zaprzężony, powóz, za którym chłopcy pogonili, czepiając się tylnych żelastw jego, wieszając się na nich, i po ujechaniu tak kawałka drogi, na bruk spadając.

Władek i Marcysia zmierzali ku rynkowi. Nie znaleźli już żadnej marchwi ani brukwi, lecz w zamian Władek podniósł z bruku i starannie schował za koszulę brudny i przy-

deptyany kawałek niedopalonego papierosa. Marcysia zapomniła o głodzie i przyglądała się mijanym ludziom, domom i wystawom sklepowym; gdy nagle Władek targnął ją za rękę i prędkiej iść zaczął. Dziewczynka zdążyła za nim z całej siły drobnych stóp swych, aż dogoniwszy niemłodego mężczyznę, w dostatnim ubraniu, idącego chodnikiem, kroku zwolnili, i Władek przyciszonym, monotonnym głosem mówić zaczął:

— Wielmożny panie! dobrodzieju najmiłosierniejszy, miej litość nad biednymi, opuszczonymi sierotami! rzuć grosik na kawałek chleba! daj proszącym, żebrzącym i z głodu umierającym...

Mężczyzna nie odwracał się; Władek, zasłoniwszy się ręką od przechodniów, wystawił za nim język, potem wnet znowu zaczął:

— Wielmożny panie! dobrodzieju najdobrotliwszy! biedne, głodne, nieszczęsne sieroty! rzuć okiem miłosierdzia...

Tym razem przechodzień sięgnął do kieszeni, i nie odwracając się prawie, rzucił na wyciągniętą małą rękę miedzianą monetę. Władek pokazał ją Marcysi.

— Widzisz! — szepnął, — będzie już za to jedna bułka dla mnie... a ty, kiedy chcesz mieć także bułkę, proś tak, jak ja...

I pociągnął ją w stronę, którą przechodziła pani jakaś, z łagodną, dobrotliwą twarzą.

W parę godzin potem znajdowali się oboje w głębi małego podwórka, którego brama wychodziła na cichy, błotnisty zaułek. Siedzieli na bruku, pokrytym grubą warstwą śmiecia, w kątku, utworzonym przez dwie murowane ściany, z opadającym tynkiem i czarnymi plamami wilgoci, pod okratowanymi z wewnątrz oknami jakiegś zapewne spiżarni. Jedli bułki, a Władek nauczał Marcysię rozpoznawania pieniędzy.

— Widzisz! — mówił, pokazując jej na dłoni kilka miedzianych monet, — to trzy grosze, a to dwa, a to grosz... trzeba, żebyś dobrze przypatrzyła się i wiedziała potem, co dostajesz, i ile za bułkę, albo za co innego zapłacić... ot ta pani, tam pod Farą, dała dziesiątkę... Ona zawsze daje... dobra jakaś... to też ja, ile razy ją zobaczę, zaraz do niej lecę... już ja tu wszystkich znam, kto daje, a kto nie daje... i z twarzy rozpoznać umiem... kiedy widzę, że nie da, to i nie idę... i ty tak rób...

— Kiedy ja nie potrafię! — zauważyła Marcysia.

— Ej potrafisz! nauczysz się! i ja kiedyś nie umiał, a teraz widzisz...

— A kto ciebie nauczył? — zapytała.

— Ot kto? nikt! sam nauczyłem się... jak inni, tak i ja... słuchałem, jak pod kościołem dziady proszą... Oni zawsze tak proszą: „Wielmożny panie! Dobrodzieju najmiłosierniejszy!” Słuchałem, słuchałem, i nauczyłem się...

Po chwili namysłu dodał:

— Już to Franek to najsprytniejszy! On mnie opowiadał wszystko, tak jak ja tobie teraz opowiadam... i... chciał mnie nauczyć wyciągać panom chustki z kieszeni... bo on to umie... ale ot, ja-bym wolał gołębie uwodzić, niż chustki wyciągać... jak podrosnę jeszcze i *przewodnika* sobie wyhoduję, będę gołębie uwodził...

Marcysia słuchała ostatnich słów Władka, jak bajki o żelaznym wilku. Nie rozumiała jeszcze wtedy zupełnie, co to jest przewodnik, uwodzenie gołębi, i jaka z tego może być korzyść lub przyjemność. Widać jednak było, że rozum towarzysza imponował jej niezmiernie, bo zachwycone oczy wlepiła w twarz jego ruchliwą, to powagi pełną, to błyskającą gniewem, to znowu wykrzywiającą się swawolnie i zabawnie.

Zjadłszy bułkę, wstali i poszli znowu ku rynkowi, aby za otrzymaną od „dobrej pani” dziesiątkę kupić sobie możliwość popatrzenia na łamane sztuki, pokazywane pod namiotem przez ulicznych skoczków. Tam brzmiała niesforna muzyka skrzypiących i dudniących instrumentów, cisnęła się szara i hałaśliwa publiczność, Franek uwijał się wśród tłumu, upatrując kieszeni z chustką, która tam trudną była do znalezienia; a gdy pajace, w żółtych czapkach, wyskakiwali na błotnistą arenę, Marcysia, oburącz trzymając się ramienia Władka, który z ciekawości i rozradowania zapomniiał o niej, drżała od stóp do głowy z trwogi i rozkoszy.

Słońce zachodziło już, gdy wracali do jaru. W chacie Wierzbowej palił się na stole łojowy, dymiący kaganek; przez oświetlone żółtym światłem okna widać było kilka osób, kobiet i mężczyzn, siedzących na ławach przy stole, na którym znajdowała się butelka z wódką i kilka czarek. Pośrodku, pod ścianą, niska i gruba Wierzbowa siedziała w wielkiej chustce na ramionach i białym czepcu na głowie, a naprzeciw niej dwie dziewczyny

młode, lecz mizerne, umawiały się z nią o coś, i zarazem hałaśliwie przekomarzały się z mężczyznami, wyglądającymi na lokai lub stangretów, i nalewającymi im wódkę do czarek. Władek zajrzał do wnętrza domku przez oba z kolei okienka, a potem rzekł do Marcysi:

— Pójdźmy do naszej własnej chaty.

— A gdzie nasza chata? — zapytała.

— Ot tam.

Wskazał jej głąb' jaru, którą śród zmroku uścielać już zaczynała biaława mgła. Siedli nad sadzawką i odpoczywali chwilę w milczeniu. Potem, gdy wkoło nich zmrok stawał się zaczął coraz gęstszym, Władek zaczął:

— Ot i poszło już sobie spać.

— Słońce? — zapytała Marcysia.

— A słońce. Leży już gdzieś sobie w czerwonej kołysce, a gwiazdy kładą się przy niém, żeby nie dopuścić do niego smoka... Szkoda, że nie można pójść zobaczyć téj kołyski, i jak to morze wygląda, co przy niej siedzi... poszedł-bym i ciebie-bym zaprowadził.

— Czemu nie można? — zapytała znowu dziewczynka.

— No, a jakże? żeby tak człowiek szedł, szedł, to jakby na sam koniec ziemi przyszedł i chciał dalej jeszcze iść, to-by tak buchnął... ot, naprzykład, jak ze stołu. Mnie nawet dziwi to wielce, że słońce nigdy nie spadnie i nie stłucze się.

— Aha! — tryumfującym głosem zawołała Marcysia, — bo jego tam morze czeka, na ręce bierze i do kołyski niesie.

Władek myślał chwilę.

— Dobrze jemu, temu słońcu, — rzekł, — mnie nikt do kołyski żadnej nie zaniósł...

— A twoja matka nie zanosila?

Chłopiec pochylał się tak nisko nad brzegiem sadzawki, iż zdawało się, że mówi nie do Marcysi, ale do wody.

— Moją matkę na *mogilki* (cmentarz) zanieśli, jak tylko ja urodziłem się...

— A ojciec twój nie zaniósł? — pytała dalej Marcysia.

Władek znowu mówił do wody:

— On mnie nigdy nie nosił, tylko wziął i zaraz do ciotki tu przywiózł...

— A ciotka nie zanosila?

Władek podniósł twarz z nad wody i pięść ścisnął.

— Ona-by mnie nosila! wiedźma ta! ona tylko krzyczyć, łajać i szturchać umie!

I nagle zapytał:

— A twoja matka nosi ciebie do kołyski?

— Czasami nosi, — odpowiedziała, — i tak całuje...

Urwała i cichutkim szeptem dodała po chwili:

— Wczoraj wybiła...

— To całuje, to bije... — zauważył Władek, — a jeść tobie zawsze daje?

— Kiedy trzeźwa, to daje, kiedy pijana, to...

— Aha! u mojej stariej ludzie często wódkę piją i upijają się... wrzeszczą wtedy, kłócą się i moją starą łają... a czy twoja matka bajki tobie opowiada, kiedy pijana, czy kiedy trzeźwa?

— Kiedy trzeźwa. I piosnek różnych wtedy mnie uczy... i czasem tak płacze... tak płacze!...

Władek milczał chwilę, potem rzekł z namysłem:

— Dobre jakieś kobiecisko, ta twoja matka... choć pijaczka... chciał-bym ja choć taką mieć!... a gdzie twój ojciec?

— Niéma, — odpowiedziała Marcysia.

— Jakto niéma? zmarł?

— Nie zmarł... tylko wcale niéma...

— No, to jakże?

I zadumał się głębokoo.

— Aha! — zawołał po chwili tonem zrozumienia, — już wiem. To znaczy, że twoja matka męża nie ma.

— Aha! — potwierdziła Marcysia.

— A no, rzekł Władek, — to wszystko jedno. Bo ot, ja mam ojca... a co z niego?...

Wyciągnął się na mokrej trawie, głowę oparł o sęk, wystający z pnia wierzbowego, i westchnął głośno.

— Bięda! — rzekł.

— Bięda! — powtórzyła Marcysia, opierając brodę na ramieniu i kołysząc w obie strony malutką swą postać.

W ten sposób opowiedziawszy sobie wzajem historie istnień swych, umilkli. Władek pierwszy przerwał milczenie.

— Opowiedz-no jaką bajkę, — rzekł.

Dziewczynka myślała chwilę.

— Może o sierotce? — zapytała.

— Dobrze, — sennym głosem odpowiedział chłopiec.

Marcysia, po chwili namysłu czy przypomnienia sobie, mówić zaczęła:

— Między trawą, rutką taką zieloną... i... pokrzywą, człowiek znalazł raz na grobie sierotkę nieżywą...

Ostatnie wyrazy wymówiła wolniej i nie zupełnie wyraźnie. Morzył ją sen. Usiłowała jednak mówić dalej i, obu piąstkami przecierając sobie oczy, zaczęła znowu:

— Tam... na tym grobie... nad sierotką... brzoźka... zkad-ciś się za-sia-ła...

Przy ostatniej zgłosce piąstki odpadły jej od oczu, pochyliła się i, z głową opartą o pierś śpiącego już Władka, usnęła.

Wynurzająca się z wilgotnego gruntu gęsta biała para, owijała uśpione to dzieci, jak w mokre pieluchy, stare wierzby rzucały na nie głęboki cień, wśród którego biegły urywane szelesty, nad otworem jaru przelatowały po ciemnym niebie kręte błyski spadających gwiazd...

Był to pierwszy nocleg Marcysi pod wierzbami, w jarze, tak, jak dzień poprzedzający upamiętnił się jej pierwszą wycieczką do miasta. Od tego czasu chodziła tam z Władkiem najczęściej, lecz czasem i sama, a na noc wtedy tylko nie przychodziła do jaru, gdy zimno było bardzo, albo gdy matka zatrzymywała ją w chacie pieszczotą, piosnkami i bajkami, albo jeszcze, gdy chodzącą po mieście sen zmorzył pod ścianą kościoła, pod drzewem lub wysokim parkanem jakiego ogrodu.

Tak upłynęło jej życie do lat dziesięciu.

Kiedy, po owym pomyślnym polowaniu na gołębie i przedwieczorniej godzinie, spędzonej z Władkiem na dachu chaty Wierzbowej, Marcysia ostrożnie uchyliła drzwi izby swjej matki, z wewnątrz głos kobiety zawołał:

— Czy to Marcysia?

Miała ona zwyczaj, po powrocie z wycieczek swych, ostrożnie zawsze uchylać drzwi izby matczynej, aby z widoku, który się jej przedstawi, i z dźwięku głosu matki, wnieść o stanie, w jakim znajduje się ta ostatnia, i, albo wejść do izby, albo co-prędzej uciekać do jaru, do wierzb, zawsze na nią łaskawych... do Władka. Tym razem Elżbietka siedziała na stolku, w głębi malutkiej, niskiej, odymionej izdebki i, przy świetle lampki, postawionej na kulawym stole, cerowała starą swą odzież. Marcysia weszła i, przybliżywszy się do matki, nieruchomo przy stole stanęła. Nie dowierzała jeszcze, nie była pewną, jakie spotka ją przyjęcie, i w każdej chwili chciała być gotową do odwrotu. Ale wieczoru tego Elżbietka trzeźwą była zupełnie. Podniosła oczy na córkę, a czoło jej, gęsto sfaldowane, rozjaśniło się nieco.

— Przyszłaś? — zaczęła tonem burkliwym nieco, ale który gniewnym uniesieniem wcale nie groził; — myślałam, że znów cię licho jakie nosić będzie po świecie przez tydzień jaki! Czegóż tak pośpieszyłaś się? Trzeba było znowu na podwórzu gdzie przenocować! Oj, ty nic dobrego! żebyś ja ciebie nigdy była nie widziała, szczęście to było-by moje...

Marcysia stała wciąż nieruchoma, tylko łokieć oparła na stole a twarz na małej dłoni, i zrazu nic nie odpowiadała. Widać było jednak, że coś w niej kipiło. Na dziecięcym jej czole powstała zmarszczka i czarne oczy błysnęły.

— To i dobrze, — odpowiedziała po chwili, — kiedy tak chcecie, to i nie będziecie widzieć mię nigdy... pójdę sobie od was i nie powrócę! Buch w wodę! i tyle mię widzieć będziecie, co ten kamień, kiedy go Władek w sadzawkę wrzuci!

Elżbietka, przywykła snadź do takich rozmów z córką, nie podniosła nawet oczu na nią, tylko po chwili, przewlekając grubą igłę przez drące się pod nią lachmany, zwolna i więcej do siebie, niż do dziecka, mówić zaczęła:

— Buch w wodę! oho! poczekaj trochę! Jak ci życie zbrzydnie, tak jak mnie zbrzydło, jak jedni ludzie oszukają cię a drudzy oplują, jak ze zgryzoty i wstydu rozpijesz się, a na kark dostaniesz dzieciaka, którego będziesz chciała wykąpać w chmurce złotej, a wykąpiesz w błocie... wtedy utopisz się, i dobrze zrobisz! Oj, czemu ja topielicą lepiej nie zostałam? Żebym niemowlęcia nie żałowała... została-bym...

Tu Marcysia drugi jeszcze łokieć na stole oparła i, przestępując z nogi na nogę, głośnym wykrzykiem mowę matki przerwała:

— Powiedźcie bajkę o topielicach!... powiedźcie! — zawołała.

Ręce Elżbietki, trzymające robotę, opadły na jej kolana. Z roztargnieniem spojrzała na dziecko, wsparła twarz na dłoni, i czarne, smutne oczy swe utkwivszy w jeden punkt ciemnej ściany, monotonnym głosem, i kołysząc się z lekka w obie strony, mówić zaczęła:

— Topielice na dnie wody spokojnie sobie leżą, w pachnące ziele owinięte, złotym piaskiem posypane... Pan Bóg przesyła im we dnie promyczki słońca i rybki, które nad nami perełkami srebrnymi pluskają... a w nocy idą one na wierzch wody, księżycowi i gwiazdom przypatrują się... a skoro dzień świtać zacznie, śpiewają sobie razem:

Od wody, wody, idziemy do was,
Bo świat szeroki znać nie chciał nas!...

Ostatnie wyrazy zanuciła, i nagle, przerywając sobie, jakby ze snu zbudzona, dodała:
— Dobrze im! oj! czemu ja topielicą nie zostałam, kiedy na mnie ta nieszczęsna godzina przyszła...

Podniosła oczy i wlepiała je w córkę.

— Zostaniesz może ty! — szepnęła. — I pewno!... jaka twoja dola być może?... ot, chyba taka jak i moja...

Żrenice jej drgnęły przestraszonym i błysnęły wielkimi łzami. Jednocześnie porwała się ze stolka i zaczęła tu i owdzie chodzić po ciasnej izbie. Nachyliła się nad leżącą na ziemi szczupłą swą pościelą, i przerzuciła ją drżącymi rękoma, otworzyła skrzynię, na której dnie leżało kilka lachmanów, i zamknęła ją ze stukiem, pochwyciła z kąta polano, i rozgrzebała niemi w starym, rozsypującym się piecu, garstkę węgla i popiołu... potem stanęła na środku izby i z obwisłymi rękoma i, wpatrzona w ziemię, myślała długo.

— Pójdę, — rzekła, — niech co chce będzie, pójdę i poproszę Wierzbowój... trzeba to raz skończyć... upamiętać się... dla dziecka...

Zarzuciła na głowę podartą chustę, zgasiła lampkę i, zostawiając dziecko w ciemności wyszła. Wyszedłszy, gnana jakby trwogą lub gwałtownością powziętego postanowienia, nie szła, ale biegła ku chacie, wiszącej u ściany jaru i mrugającej z dala, niby kociemi oczyma, dwoma, jaskrawo-żółtymi, okienkami.

W chacie, przy stole, na którym palił się łojowy kaganek, siedziała Wierzbowa i, z głową opartą na skrzyżowanych na stole ramionach, drzemała. Nie kładła się do snu, bo pora była dość wczesna jeszcze, aby ktokolwiek z klientów jej mógł ją odwiedzić. Jakoż zastukano z lekka w szybę, i za oknem ozwał się głos Elżbietki. Stara powstała i otworzyła drzwi.

— Ja bo się tak zamykam przed tym urwisem Władkiem, — rzekła do wchodzącej, — wołałam go, żeby szedł nocować do chaty, nie posłuchał... niechże teraz za pokutę śpi na dworze... oj! dzieci, dzieci! jaka z nimi bięda!

Usiadła znowu na ławce i małemi oczkami, głęboko osadzonemi wśród wielkiej, pomarszczonej twarzy, na przybyłą patrzyła.

— Ja też — zaczęła Elżbietka, stając przed nią, — ja też dziś do pani Wierzbowój przyszłam względem dziecka... to jest... względem siebie, ale... dla dziecka.

— Cóż tam? cóż? — zapytała stara, — jeżeli pieniędzy pożyczyc, to nie mam... nie mam...

— Nie, — przerwała Elżbietka, — względem tej służby, co to u jakiejś pani na wsi zdarza się.

— A! — przeciągle wymówiła Wierzbowa, i zamyśliła się. Potem czyniąc ręką i ustami ruch taki, jakby coś do dna wychylała, zapytała:

— A cóż z tém będzie?

Zachichotała z cicha i dodała:

— Ja bo do takich wielkich państwa nie mogę rekomendować pijaków... co innego tu, do mieszczuchów tych...

Elżbietka machnęła ręką i przerwała:

— Aj! — rzekła, — narekomendowaliście wy na służbę pijaków co nie miara! Gdzie pijaństwo zaczyna się, ztamtąd ono i na świat wychodzi. Co to o tém i mówić! Chcecie targować się ze mną? dobrze! oddam wam cały zadatek, jaki od téj pani wezmę, tylko zarekomendujcie!.. ja chcę z miasta precz! na wieś! z parę lat tam pobędę, to może ten dyabeł, co mię opętał, odstąpi...

Wierzbowa patrzyła na mówiącą tak kobietę wpół-żartobliwie, wpół-bacznie.

— Zkąd-że wam znowu raptem to opamiętanie przyszło? — zapytała.

— Raptem? — szepnęła Elżbietka i, wybuchając, mówić zaczęła prędko i głośno: — a zkąd-że wy wiecie, że raptem? zkąd wy możecie wiedzieć, ile ja razy szłam do szynku i nie doszłam, wracałam się i włosy sobie z głowy wyrwałam, i łzami oblewałam mój nędzny barłóg! Zkąd wy wiecie, ile ja nocy przemodliłam się do Pana Boga, aby na mnie opamiętanie, a dla mego dziecka wybawienie zesłał? Rośnie to i rośnie... a śliczna, a rozumna... a co z nięj będzie, jeżeli ja z sobą nie zrobię czego... Ot! przyszedł moment, że zrobić muszę... ale tutaj... gdzie szynk co krok, a znajomych pełno, a ludzie wstydem moim w oczy mnie kolą... nie sposób! Trzeba mi ztąd precz... na wieś, pod Boże niebo... tam dzień za dniem potoczy się jednostajnie... a cicho... a nędza w oczy nie zajrzy i serca nic nie zgryzie... ja na wsi urodzona i wyhodowana... jak las zobaczę i trawę zieloną, i ruczaj jaki na łące... to może... może... Pan Bóg zlituje się i moc da!...

Mówiła to ze wzruszeniem szczerém i silném. Oddychała prędko, ręce splatała u piersi, a twarz jęj cała była w ogniu i łzach.

Wierzbowa patrzyła na nią z coraz większą ciekawością, i z coraz zjadliwszym uśmiechem w oczach i na wydatnych, pomarszczonych, wargach.

— No, no! — zaczęła, kiwając głową, — probujcie... probujcie... ja zarekomenduję... czemuż-by nie? jeżeli obiecujecie, że nie zrobicie mi przed tém państwem wstydu i szkody. Ale musicie mi zadatek swój oddać caluteńki...

— Tylko sobie trzewiki kupię, bo przecież nie mogę w służbę iść boso, — z nieśmiałością wtrąciła Elżbietka.

— Co tam, trzewiki! już ja wam swoje dam... nadnoszone trochę, ale dobre będą... Oddacie mi za nie tę chustkę popielatą w kraty... na co wam dwie chustki... A cóż z dzieckiem zrobicie?

Elżbietka rzuciła w stronę kilka spojrzeń niespokojnych i ponurych.

— A cóż mam zrobić? — rzekła, splatając znowu ręce, — familii tak jak nie mam, a ta, co jest, nie chce mnie znać od téj godziny wstydu i nieszczęścia... Co ja mam z dziewczyną tą zrobić... z sobą mi jęj wziąć nie dadzą! Muszę już chyba was prosić, żebyście ją u siebie przez czas ten potrzymali...

Widać było, że myśl wyrażoną ostatnimi słowy przyjmowała niechętnie i z bojaźnią, jako jedyny tylko możliwy sposób poradzenia sobie. Ale Wierzbowa plasnęła dłonie.

— A niech-że mię Bóg i Najświętsza Panna od tego bronią! Dość ja już mam biędzy z moim tym łotrzykiem...

— Moja pani Wierzbowo! — zaczęła Elżbietka, — wszak ja jęj nie wyrzekam się. Za rok, za dwa... jak tylko pocuję, że mi już Pan Bóg łaskę swoją zesłał i z grzechu mię wybawił, powrócę... akuratnie pracować zacznę, i ją do siebie wezmę.

— Za rok, za dwa... To kawał czasu, moja kochana, kawał czasu wielki. A ileż przez czas ten dziewczyna ta chleba zję u mnie... a u mnie bięda... ja nie mam z czego...

— Wszak ja jęj nie wyrzekam się, — powtórzyła Elżbietka, — regularnie połowę pensyi mojęj przesyłać wam będę dla nięj, a drugą połowę składać sobie, żeby mieć za co jakie takie gospodarstwo zaprowadzić, gdy wrócę i ją do siebie wezmę...

Wierzbowa myślała chwilę.

— A no! — rzekła, — cóż robić? trzeba czasem ludziom dopomódz... niech już i tak będzie. Przyprawdźcie tu dziewczynę przed wyjazdem... wezmę ją do chaty... może mi w czym i pomocną będzie.

— Niech będzie! niech będzie! — zawołała Elżbietka, — ja nie od tego jestem, żeby ona do pracy przywykała. Każecie jój wodę nosić, w ogrodzie plić i wszystko robić... i owszem... co zarobi, niech wam odnosi, a wy jój za to strawy nie pożałujecie i lachman jaki sprawicie...

Pochyliła się szybko i rękę Wierzbowej do ust podniosła.

— Dobrodziójko! — szeptała, — miła moja! matko moja! bądźcie dla téj biednej sieroty z sercem litościwém... nie dajcie jój głodem mrzść i włóczyć się po mieście za żebraniną... Kiedy zasłuży, ręki nie żałujcie, ale kiedy nie zasłuży, nie krzywdźcie. Do grobu wdzięczna wam będę za to, i gdy powrócę, nogi wasze ucałuję, jak świętej patronce... Wszak-ci powinniście coś zrobić dla mnie... Wszak-ci ja dałam wam przez te wszystkie lata nieszczęsne trochę grosza zarobić... Wszak... wszak... Bogiem a prawdą... moje najgorsze nieszczęście tu, w waszój chacie zaczęło się, bom ja tu... z waszój ręki pierwszą czarkę téj wódki przeklętej wzięła... nie chciałam, namówiliście... w kompanii wypilałam raz i drugi... u was-że... ot tu na téj ławie... a potem...

— No, no! — przerwała Wierzbowa, — dość już, dość tego proszenia i lamentowania! Jutro zaprowadzę was do tych państwa i zarekomenduję... za dwa dni do mnie dziewczynę przyprowadzicie i wyjedziecie sobie... Już ja taka, jak mnie kto o co prosi, nie mogę wytrzymać i zrobię...

Elżbietka wyszła. Wierzbowa zdejmując z głowy biały czepiec, uśmiechała się długo. Znać było, że czuła się zadowoloną ze zrobienia interesu, wielostronnie może dla niej korzystnego.

— Upamiętać się, nie upamięta, — szeptała, — jeszcze nigdy nie widziała tego, aby pijaczka taka pić przestała... ale z początku przysyłać pieniądze będzie... potem, dziewczyna podrośnie i na zarobki pójdzie... a potem...

Przestała szeptać, tak, jakby myśli swojej nawet otaczającym ją brudnym i okopconym ścianom powierzać nie chciała, i zdmuchnęła kaganek.

W dwa dni potem, ścieżką, wspinającą się od przedmieścia po ścianie jaru, szła Elżbietka, prowadząc córkę za rękę. Marcysia, która wiedziała już, że zostanie w chacie Wierzbowej, idąc, wyskakiwała i oglądała się wciąż za Władkiem, aby się z nim tą nowiną podzielić. Na dachu siedział gołąb' Kubuś i, wykręcając czupurną główkę na wszystkie strony, gruchał donośnie, jakby kogoś ku sobie przywoływał. Ujrzawszy go, dziewczyna wybuchnęła głośnym chichotem.

— Widzicie? — zawołała, wskazując palcem gołębia, — widzicie? ot Lubuś! on mnie tak woła i Władka! Zaraz my tam pójdziem na dach... po niego... a potem na przedmieście polecim...

Stanęła przed drzwiami chaty, Elżbietka pochyliła ku córce twarz bladą i splakaną.

— No, — rzekła, — już ja sobie pójdę, i nie powrócę aż za rok, albo za dwa... a ty, Marcysiu, pamiętaj, co ja tobie mówiłam... grzeczną być, pani Wierzbowej słuchać, do miasta nie latać... czy będziesz pamiętać?

— Będę! będę! — z rozrargnieniem odpowiedziała Marcysia, spoglądając w głąb' jaru w nadziei, że ujrzy tam Władka.

— Marcysiu! — zaczęła znowu kobieta, — czy tobie nie żal matki? Wszak ja tobie niezawsze złą matką byłam. Karmiłam cię czasem i całowałam, na rękę moich nosiłam i bajki ci mówiłam...

Dziewczynka podniosła głowę i utkwiała w twarz matki wzrok, w którym przez chwilę jeszcze migotały swawolne, niedbałe uśmiechy. Potem Elżbietka wzięła ją w objęcia i uniosła z nad ziemi.

— Pocałuj-że matkę, — rzekła z cicha, — no pocałuj... mocno!

Oczy jój patrzyły tak żałośnie, ramiona zacisnęły się tak silnie, a usta uśmiechały się z takim miękkim smutkiem, że dziecko piersiami do piersi, a ustami do ust jój przyłgnęło, i wybuchnęło głośnym, rzewnym płaczem.

W środku miasta, przy jednej z większych ulic, znajdowała się cukiernia, przed której wystawą Władek i Marcysia zatrzymywali się często, w czasie wspólnych wycieczek swych na miasto. Władek przecież z nieśmiałością zawsze i przeróżnymi ostrożnościami zbliżał się do niskiego, szerokiego okna, za którym błyszcząły i wabiły go pozłociste bombonierki, cukrowe lalki i rozkwitłe w wazonach kwiaty.

— Cyt, — mówił do Marcysi, kładąc palec na ustach, — żeby tylko stryj nie zobaczył, bo zaraz kułakiem w plecy da i do chaty popędzi!

Jakoż zdarzało się, że gdy, zapatrzony w cukierki i papierowe cacka, i przyczepiony u ramy okna w celu zobaczenia ponsowych firanek i sprzętów, zdobiących wnętrze cukierni, zapomniał na chwilę o zwykłej ostrożności, z bramy sąsiedniej wychodził wysoki, poważny człowiek, w dostatniem, choć z mieszczańską przykrojonem odzieniu, i spozstrzegłszy go, smutnie i gniewnie wstrząsając głową zaczynał. Czasem wołał:

— Władek, Władek! a czy ty znowu po mieście włóczysz się i w cudze okna zaglądasz!

Wtedy chłopak, usłyszawszy głos jego, odpadał od ramy okna i, nie oglądając się, zmykał z całej siły bosych swych nóg.

Niekiedy jednak gorzej bywało, bo zamożny cukiernik, zbliżywszy się z cicha, podniósł giętką laskę, którą zawsze w rękę trzymał, i opuszczał ją na plecy chłopca, a zarazem chwycił go za ramię. Władek, nadaremnie usiłując wyrwać się z silnego ujęcia, przysiadł na bruku chodnika, a Marcysia zaczynała krzyczeć w niebogłosość. Cukiernik nie zwracał najmniejszej uwagi na dziewczynę, a synowca łajał, wyrzucając mu próżniactwo, włóczęgowstwo, i przepowiadając dla niego przyszłość najstraszniejszą. Potem brał go za rękę, wprowadzał w bramę, i przez kilka godzin zatrzymywał w mieszkaniu swoim. Z razu każdy wypadek podobny kosztował Marcysię wiele łez i rozpacz; myślała, że poważny, wąsaty jegomość, którego sam widok napępiał ją trwogą, zmieszaną ze czcią, na zawsze już uprowadził, a może, gdzieś tam i zabił małego przyjaciela. Potem jednak przekonała się, że nie było w wypadkach tych nic tak dalece straszego, i że nawet posiadały one swoją piękną i pożyteczną stronę; po kilku godzinach bowiem, czasem po nocy, spędzonej u stryja, Władek wracał do Marcysi, która w głębi jaru, nad sadzawką, zalewała się łzami, albo, zwieszona na wysokości poręczy mostu, wpatrywała się załzawionemi oczyma w najdalszy widzialny punkt ulic. Wracał w poskokach i wnet wyjmował z kieszeni kilka cukierków i parę ciastek, któremi dzielił się z towarzyszką. Jedząc przysmaki te, Marcysia uspakajała się zupełnie, i czasem, ze zdumieniem, spostrzegała na nogach towarzysza stare, lecz nieobecne tam wprzód, obuwie, albo na plecach jego zniszczoną, lecz zawsze od zwykłego spencerka porządniejszą surducinę.

— Buty! — mówiła, wskazując na stopy towarzysza.

— Aha! — odpowiedział Władek, — stryj kazał swojej żonie, żeby mnie dała te buty, co ich najmłodszy syn nie donosił!

— I to dał? — spytała, pokazując niedojedzone cukierki lub ciastka.

— Ej, nie! to ja sam sobie dał! Kucharz niósł do cukierni i na stole postawił, a ja ze stołu cap! i ściągnąłem.

— A jeść dał?

— Aj! aj! u nich takie smaczne jedzenie! mięsa dali i chleba z masłem...

— A bili?

— Nie, tylko wtedy na ulicy, potem już nie bili. Tylko stryj bardzo łajał, że ja urwis i ulicznik jestem. Powiedział, że mnie od ciotki odbierze i do siebie weźmie, ale żona jego zaczęła krzyczeć, że u nich i tak dużo dzieci jest...

— Dużo dzieci? — z zajęciem przerwała Marcysia.

— Dużo; trzech chłopców i dwie dziewczyny. Chłopcy do szkół chodzą, a dziewczyny gdyby lalki.

— A tam byłeś? — zapytała dziewczynka.

— Gdzie?

— Tam, gdzie tak ślicznie... ślicznie... gdzie kwiaty takie i czerwone krzesła, i złote okna...

Złote okna, były to w wyobraźni jój zwierciadła, oprawione w złocene ramy.

— Aha! w cukierni! — domyślał się Władek, — nie, nie byłem. Tam obdartusów, takich jak ja, nie puszczają. Przeze drzwi tylko przypatrzyłem się... o! to raj!

Po rozmowach podobnych i zjedzeniu *ściągniętych* przez Władka przysmaków, zapominali prędko o zdarzonym epizodzie swego życia, i tylko przez czas jakiś unikali starannie cukierni i groźnego stryja, który, jakkolwiek obdarzał synowca starą odzieżą swych synów, miał jednak silną rękę i giętką laskę, od której Władkowi przez czas długi zostawały na plecach silne plamy. Zapominali prędko o zdarzonym epizodzie, i nigdy nie przyszło im na myśl, że cukiernia i jej właściciel odegrać mogą w życiu ich obojga rolę ważną i stanowczą.

Tak się przecież stało.

W rok niespełna po wyjeździe Elżbietki i zamieszkaniu Marcysi w chacie Wierzbowej, pewnego letniego pogodnego wieczoru, Władek z pędem ogromnym zlatywał w głąb' jaru po stromiej ścieżce, i na głos cały wołał:

— Marcysiu! Marcysiu!

Dziewczynka wychyliła się z najgęstszej gęstwiny krzewów, gdzie zbierała w fartuszek dziki agrest i czerwone jagody głogu.

— Hu! hu! — odkrzyknęła.

Władek stanął przed nią ze zczzerwioną, wzburzoną twarzą. Widać było, że sam nie wiedział, czy cieszyć się miał albo smucić, bo w oczach kręciły się mu łzy, ale po ustach wił się uśmiech tryumfujący.

— No! — zawołał, — bywaj zdrowa i... pisz do mnie na Berdyczów, drobnymi literami! Już ja sobie ztąd idę!

— A gdzie? — zapytała ciekawie i trwożnie zarazem.

— Do stryja! Stryj przyszedł po mnie... zabierze mnie do siebie... będę w niedzielę chodził do szkółki i uczył się czytać, a co dzień posługiwał gościom...

I z twarzą rozradowaną już całkiem, powtórzył:

— Bywaj zdrowa!... tyle już mnie zobaczysz, co swoje ucho!...

Z rąk dziewczynki wysunęły się końce fartuszka, agresty i głogi posypały się w trawę, a z oczu jej szeroko otwartych, od zdumienia zrazu, potem od żalu, płynęły strumienie łez. Potem, gdy chłopiec odwrócił się i chciał odbiedz, chwyciła go obu dłońmi za poję odzieży i krzyknęła:

— Władek!

Stanął i popatrzył na nią.

— Aha! — rzekł, — żal ci się zrobiło! już beczysz! no, i mnie ciebie troszkę szkoda; ale widzisz, co nowy surdut, to nie podarty spencerek, co buty, to nie gołe podeszwy... co cukiernia z czerwonymi krzesłami, to nie mokra ziemia...

Usiadł jednak na mokrej ziemi, a przy nim, oczu z niego nie spuszczać, oniemiała i zeszywniała usiadła Marcysia. Opowiedział dziewczynce, jak, kiedy ona z rozkazu Wierzbowej poszła na dno jaru zbierać agrest i głóg, do chaty przyszedł stryj, jak zobaczył go na dachu, wsadzającego do gołębnika uwiedzione gołębie, jak rozgniewał się strasznie, do chaty wpadł i naprzód Wierzbową złajał.

— Tak krzyczał na moją starą: — mówił Władek, — „Jejmość nauczyłaś go kraść gołębie, bo korzyść z tego miałaś... a nie pamiętałaś o tém, że od rzemyczka do koniczka...” I powiedział: „mnie wstyd, że mój krewny ulicznikiem jest, a ja nie mogę pozwolić na to, żebyś go jejmość na złodzieja wyhodowała.

— A gdzie asan do tego czasu bywał? — odkrzyknęła Wierzbowa.

— Albo to ja swoich dzieci nie mam? — odpowiedział cukiernik. — Brat hula i łajdaczy całe życie, a ja, pracując krwawo, mam jeszcze obciążać się jego dziećmi! Ale kiedy trzeba, to trzeba. Niema co! zabieram chłopca... Niech niedzielami uczy się czytać, a w dnie powszednie służy w cukierni...

Wszystko to opowiedział Władek Marcysi, bo, zląwszy z dachu i przyczajony za oknem, całą rozmowę był podsłuchał, i wnet skoczył do jaru, aby o wszystkim, co zaszło, oznajmić towarzysze.

Opowiedział i zamilkł. Przed chwilą chciał już odbiedz, a jednak przykuwało go coś do tej trawy wilgotnej, na której tyle godzin przesiedział i tyle nocy przespał; do tej wody zielonej, której tyle razy powierzał troski i pożądanego całego swego sponiewieranego, nędznego dzieciństwa; do tej dziewczynki, na koniec, czarnookiiej i ognistowłosej, którą tyle razy z wody wydobywał i na rękę swych ze stromiej ściany jaru znosił, z którą tyle kęsów ubogiej żywności przełamał, i tyle nocy, w oponach mgieł białych i pod straż gwiazd

złoty, przespał, którą uczył wdrapywać się na dachy i drzewa, znajdować w gałęziach gniazda ptasie i w trawach zielone żaby, której bajkami i piosnkami bawił się i zachwycił, z którą razem żebrał i żalił się na złą dolę, kradł gołębie i marzył o jakiejś szczęśliwej, bogatej, złotej przyszłości... Przykuwało go coś do tego miejsca i do tej dziewczynki, której drobna twarz, blada teraz jak opłatek i perlístemi łzami oblana, bielą obok niego w zmroku, na tle ciemnych krzewów.

— Władek! — szepnęła.

— A co? — zapytał niepewnym głosem; czuć było, że chciało mu się płakać.

— Co to będzie?

— Albo co?

— Co to będzie... jak ciebie nie będzie?

Nie odpowiedział, bo w tej chwili rozległ się w górze wołający go głos cukiernika. Poskoczył i w mgnieniu oka znalazł się u szczytu ścieżki. Marcysia, jak ptak porwała się z pomiędzy traw i krzewów, i pobiegła za nim. U szczytu ścieżki stanęła w chwili, kiedy cukiernik wziął za rękę chłopca, i przemawiając do niego burkliwie, nie gniewnie jednak, prowadził go ku przedmieściu, ku mostowi na rzece, het, precz! ku miastu, którego krzyże i okna świeciły jeszcze ostatkiem padających na nie ogni zachodu. Stała nieruchoma, z obwisłymi rękoma i bosemi nogami, utopionemi w trawie. Czerwony promień wił się po skamieniałej jej twarzy i roziskrzył czarne, szeroko rozwarte, oczy.

— Władek! — zawołała.

Chłopiec niedaleko był jeszcze, usłyszeć mógł, jednak nie obejrzał się.

— Władek! — krzyknęła z całej siły.

Nie obejrzał się.

Być może, iż w pamięci jej stanęły chwile te dawne, gdy na rękach matki znoszona z tej samej ścieżki, którą szedł on teraz, oglądała się wciąż za nim póty, póki nie skryły go przed nią szare domki przedmieścia.

Teraz zniknął on wśród tych domków, a ona patrzyła jeszcze na most, który przebywał on musiał. Most był daleko, jechało i szło po nim mnóstwo ludzi, ona stała jednak, i tak długo na most patrzyła, aż zgasł czerwony promień, wijący się po twarzy jej i żrenicach, zgasły i zczerniały krzyże i okna miejskie, i całe miasto, jak długa, wyębiona czarna plama, rozpostarło się na tle stojących za nim szkarłatnych obłoków. Wtedy zwróciła się szybko na ścieżkę w dół biegnącą, i znikła w głębi jaru, gdzie długo, długo w noc, wśród głuchych szelestów drzew i lekkich plusków wody, slychać było głębokie, przeciągłe dziecięce szlochania.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, Marcysia biegła przez most do miasta. Nie znać już było całonocnego płaczu na twarzy jej, którą umyła snadź w chłodnej wodzie sadzawki, i którą różowiły blaski powstającego dnia. Przebiegła most, kilka ulic, i zdyszana, uśmiechnięta, stanęła przed drzwiami cukierni. Wznosiły się one nad chodnikiem kilku wschodami. Dziewczynka wskoczyła na nie, wspinając się na palce, przyłożyła twarz do szerokiej szyby, i aż zadrżała z radości.

Nad głową jej przeraźliwie zajęczał dzwonek, drzwi otworzyły się i na progu stanął Władek... jakże zmieniony! Miał na sobie porządne ubranie z szarego sukna, nowe prawie buty i brudną, lecz czerwoną jeszcze, chustkę na szyi.

— Czegoś ty tu przyszła? — zaczął, spychając dziewczynkę ze wschodków na chodnik, a tamtąd jeszcze uprowadzając co prędzej ku bramie, — czegoś ty tu przyleciała? Stryj powiedział, że kiedy zobaczy mnie z ulicznymi dziećmi, bić będzie! czy chcesz, żeby mię tłukli i pędzali za ciebie, jak jakiego Hamana?

— Nie chcę! — szepnęła i szeroko otworzyła oczy i usta.

— A widzisz! to i nie przylatuj tu nigdy! ja sam przylecę do ciebie, jak będę miał czas... nie bój się! przylecę i wszystko opowiem! aj! żeby ty wiedziała!...

Widać było, że długoletniem przyzwyczajeniem wiedziony, miał wielką ochotę opowiedzieć jej wszystko, co widział i czego doświadczył. Urwał jednak mowę swą, bo na dziedzińcu rozległy się kroki mężkie i laska o bruk stuknęła.

— No, idź już sobie, idź! — szepnął pośpiesznie. — Wiész? — dodał — ja tutaj z pewnością bogatym zostanę... zobaczysz, że zostanę...

— Przylecisz? — zapytała Marcysia.

— W świat wyszedłem i na człowieka przynajmniej wyglądam...

— Przylecisz? — powtórzyła.

— Tylko oczy i uszy szeroko mnie trzeba otwierać a słuchać i uczyć się, jak to ludzie na świecie sobie radzą...

— Przylecisz? — szepnęła znowu, ale szept jój przygłuszył brzęk dzwonka u drzwi cukierni, które zamykały się za Władkiem.

Kiedy powoli i ze zwieszoną głową wróciła do chaty, Wierzbowa spotkała ją w progu. Nie miała jeszcze na głowie białego czepca, a rozczochrane siwe włosy jój sterczały we wsze strony dokoła twarzy wielkiej, zaspanej, zwisającej grubemi marszczkami.

— Gdzieżeś latała? ty, włóczęgo! nic dobrego! — krzyknęła. — Czemu woda nie przyniesiona! Do miasta mi trzeba a nie mam czém umyć się, ani herbaty ugotować? Leć mi po wodę! prędzój!

Pod grożącą jój, ściśniętą pięścią stariej, Marcysia wpadła do chaty, i w mgnieniu oka ukazawszy się znowu z dzbankiem w ręku, pobiegła brzegiem jaru daleko, potem spuściła się nisko w dół, kędy ze źwirowatej głębokiej rozpadliny tryskała i po kamykach z szumem zbiegała wążka nić strumienia. Usiadła tam na osłonecznionej trawie i nastawiwszy dzbanek pod zbiegającą po żwirze wodę, patrzyła, jak wielkie krople, uderzając o kamienie, rozpryskiwały się w srebrne pyły. Nad rozpadliną szumiało kilka karłowatych sosenek, a po chwili załopotały tam skrzydła ptasie. Marcysia podniosła głowę, zasmucona twarz jój błysnęła radością. Różowy gołąb' kołysał się na gałęzi niskiej sosny i wyciągając głowę spoglądał na nią z góry. Rzuciła dzbanek na żwir, wyciągnęła ku niemu obie ręce i zaczęła go wołać, a gdy ptak, posłuszny znajomemu i przyjaznemu głosowi, zleciał na jój ramię, przytuliła go do piersi i, z ustami przyciśniętymi do jego skrzydeł, kołysała go jak dziecko, szepcząc długo:

— Lubusiu! oj, Lubusiu! Niéma Władka! niéma! niéma! niéma!

Gdy wracała, dzban napelniony wodą, był tak ciężki, że niosące go ramię jój ugięło się aż prawie ku ziemi, a na policzki wystąpiły rumieńce wysilenia. Nad nią, niżej, to znowu wyżej, leciał gołąb'. Spoglądała ku niemu od chwili do chwili i uśmiechała się.

W godzinę potem, Wierzbowa ubrana już w zwykłą swą kwiecistą wełnianą suknię, dużą chustę i biały czepiec, wyszła do miasta, a wnet po wyjściu jój Marcysia otworzyła na oścież jedno z okienek chaty. Przez okienko to można było widzieć ją krzątającą się w ciemnym, okopconym wnętrzu izby, zamiatającą podłogę ogromną miotłą, ścielącą łóżko, rozniecającą ogień i przystawiającą do niego garnek z wodą i ziemniakami. Na stole stała szklanka z niedopitą przez Wierzbową herbatą, i leżały resztki nie dojedzonej bułki. Na oknie siedział Lubuś, dziobiąc garstkę grochu i okruchy chleba. Marcysia spełniała gospodarskie czynności, w które się już była przez rok ubiegły wprawiała, a potem wyszła do ogródka, usiadła na zagonie i plęć zaczęła warzywo. Lubuś poleciał za nią. Pieląc, dziewczynka wzdychała często i wstrząsała głową. Wkoło niej szczebiało ptactwo a w oddali, za rzeką, gwarzyło i szumiało miasto. Od chwili do chwili podnosiła głowę i przechylała ją w stronę miasta. Zdawało się, że w gwar i szum, dolatujący ztamtąd, wsłuchiwała się z natężeniem. Myślała może, iż zdoła wśród tysięcy zmieszanych tam głosów rozróżnić głos przyjaciela...

Od dnia tego, z ulic miasta zebrząca tam wprzód bosa dziewczynka zniknęła. Z rozkazu Wierzbowej, Marcysia chodzić zaczęła na zarobki. Z rana, przed wschodem słońca jeszcze, nosiła dla zamożniejszych rodzin przedmiejskich dzbany krynicznej wody. Potem peła warzywo i oczyszczała ścieżki w ogrodach, pomagała praczkom płukać w rzece bieliznę, w jarze zbierała berberys i glóg, a na polach zioła, i sprzedawała je na rynku miejskim lub w aptekach. Pieniądze, otrzymywane za to wszystko, odnosiła Wierzbowej, która od czasu, gdy korzyść z niej ciągnąć zaczęła, była dla niej łagodniejszą i laskawszą, często jednak wspominała o tém, iż z łaski trzyma ją u siebie, bo matka jój dawno już zapomniała o swych przyrzeczeniach.

Istotnie, Elżbietka przez pierwsze tylko kilka miesięcy przysyłała przyrzeczoną Wierzbowej sumę, przycém dołączała kartkę grubego papieru, na której ktoś, uproszony przez nią, (sama nie umiała pisać) zapytywał: czy Marcysia żyje, zdrowa i dobrze się prowadzi? Potem pieniądze i kartki z zapytaniami przybywały coraz rzadziej, aż w drugim roku pobytu Marcysi u Wierzbowej całkiem przybywać przestały.

— Albo umarła, albo rozpiła się do reszty — mówiła Wierzbowa do Marcysi i dodała: — najpewniej i jedno i drugie. Rozpiła się do reszty i umarła gdzieś pod płotem, albo w szynku pod ławą.

To też bez ogródek żadnych udzielane jej wiadomości o matce, zdawały się z pozoru mało obchodzić Marcysię. Od dnia odejścia Władka, stała się ona bardziej milczącą, jak wprzód, spowolniała, chodziła i pracowała najczęściej w milczeniu. Dowiadując się o ostatecznym zamknięciu matki, nie smutniała więcej, tylko w dniach, w których Wierzbowa najszerzej się o tym rozgadywała, Marcysia kładąc się do snu, na sienniku, umieszczonym pod piecem na ziemi, wdychała głośno po kilka razy. Czy przypomniawszy sobie wieczory, nieczęste wprawdzie, w których matka zanosila ją na ręku do nędznego łóżka swego, siadała przy niej i, cerując starą odzież, usypiała ją piosenkami i bajkami? Zdawało się nawet, że im dłuższy czas upływał od rozstania się jej z matką, im bardziej, po rozłączeniu się z nieodstępnym towarzyszem swego dzieciństwa, czuła się samotną i osieroconą, tym częściej przypominała sobie matkę i tym jaśniejszą, powabniejszą stawała się jej postać. Jakie rojenia i dumy zjawiały się teraz w głowie dziewczynki tej o łagodnych, smutnych ustach i wzroku, spuszczonej najczęściej ku ziemi, jakie tęsknoty i bóle kładły się na jej sercu — trudno-by odgadnąć i ona sama nie potrafiła-by pewno opowiedzieć. Ale gdy czasem, w chacie i naokoło, daleko, nikogo nie było, w ciszę głęboką mieszał się tylko odległy szum miasta, a z bliska przerywały ją urywane świągoty wróbli; gdy w głębi jaru szumiały stare wierzby, a za jarem, po złotych polach, rozchodził się od czasu do czasu przeciągły pokrzyk oracza, lub chichot wesołej żniwiarki: samotne dziecko, siedzące na skopanej ziemi ogródka i wyrrywające z zagona dzikie, kolące zielska, podnosiło głowę, powłóczył się przygasłym spojrzaniem wiodło za różowym gołębiem, przechadzającym się po dachu chaty i, przypominając sobie jedną z pieśni matczynych, zawodziło:

— W lot gołąbka uroniła
Piórko na jeziorko;
Matka poszła precz — za świąty,
Ja w cudze podwórko.

Nachylała się nad zagonem, peła pilnie, szybko, uważnie, a w godzinę jaką dopiero, lub później jeszcze, opuszczała znowu ręce, znowu oglądała się za gołębiem i śpiewać kończyła:

— Biada piórku na jeziorku
Tak samemu pływać;
Biada w cudzém mnie podwórku,
Łzami się zalewać.

Nie zalewała się jednak łzami nigdy. Cicha była, cierpliwa i skryta. Rówieśnic swawolnych i hałaśliwych unikała, a przy spotkaniu z rówieśnikami, pytała zawsze, czy nie widzieli Władka. Władek przybiegał do niej zrazu dość często.

Kiedy piérwszej niedzieli po odejściu swém zobaczyła zdala Władka idącego, pobiegła na jego spotkanie jak szalona.

— Niéma staréj? — zapytał.

— Niéma! niéma! do kościoła poszła!

— To dobrze; posiedzim sobie tutaj.

Usiadł na stoku góry, spuszczać się ku przedmieściu i, wystawiając na słońce nowe obuwie swe, aby lepiej błyszczało, zaczął opowiadać towarzysze o wszystkim, czego się przez tydzień cały napatrzył i nasłuchał.

— Te złote okna — mówił — na które ty zawsze tak oczy wytrzeszczałaś, to lustra, takie wielkie, że człowiek widzi w nich siebie, od nóg aż do głowy... a ten stół ogromny, po którym takie kule kościane latają, to bilard...

— Co to? — zapytała Marcysia.

Tłómaczył jej znaczenie bilardu, którego sam nie rozumiał jeszcze dobrze. To tylko wiedział, że kto umie doskonale kule te kijami potrącać, może dużo pieniędzy wygrać.

— Przypatrzę się... i będę umiał... a jak będę umiał, wygram sobie pieniądze gmach i bogatym zostanę.

— Stryj nie pozwoli, żebyś mu ten stół niszczył — zauważyła Marcysia.

— Będę ja jego pytał się! tam, na Nizkiej ulicy, jest takie miejsce, gdzie każdy sobie gra, kto chce... i Franek gra, bo już umie... Szczęśliwy ten Franek! zawsze piérwój do wszystkiego dopadnie, niż ja... prawda, że starszy, no, i ojciec jego, który za lokaja służy, lepiej go kierował, niż mnie ta wiedźma...

— Wiész? — mówił dalej — jak na tych czerwonych krzesłach dobrze siedzieć... tak miękko! Wczoraj, kiedy goście porozchodzili się, siadłem sobie na krzesło i tak wyspałem się, jak w łóżku.

W ogóle znać było, że czuł się zadowolonym z położenia swego, i że w głowie roił się mu niejasne, lecz gorące pożądanja i nadzieje. W kilka tygodni potém, przyszedłszy po raz drugi, z zamyśleniem rzekł do Marcysi:

— Dochodzą ludzie... dojdę i ja! umiem już zgrabnie podawać gościom lody i czekoladę, a stryj zrobi mię prędko markierem.

— Co to? — zapytała.

— Markier, chłopiec, co przy bilardzie stoi i liczy, ile kto przegrał, albo wygrał. Będę stał przy bilardzie, patrzył i uczył się...

Skarżył się tylko na żonę stryja, że łaje go często, krzykliwe dzieci swe nosić mu każe i do herbaty daje chleb bez masła.

— Ale to nic! — dodał — zawsze tam życie, jak raj, w porównaniu do tego, co wprzódy było. Gdzie zaś! Człowiek sobie zje dobrze, wyśpi się wygodnie, i pomaleńku uczy się, jak obracać się w świecie. Żebyś ty tam była, tobyś gębę otwierała, słuchając, jak u nas goście pomiędzy sobą rozmawiają. Nie zrozumiała-byś nic a nic. I ja wprzódy nie rozumiałem, ale teraz zaczynam rozumieć... No zgadnij, o czém oni najczęściej gadają?

— O czém? — zapytała Marcysia.

— O pieniądzech! — odpowiedział z powagą. — Tak, tak — dodał — na tém świat stoi. Kto grosza nie ma, ten grosza nie wart... a kto go ma! hej! hulaj dusza! wszystko za pieniądze... i buty, i surdut, i jedzenie, i zabawa!

Wstał, wyciągnął się i, wskazując palcem biały, obszerny dom ogrodnika, nad samym brzegiem rzeki, na krawędzi miasta stojący, rzekł:

— Żeby choć takim bogatym być, jak te ogrodniczysko... Franek tam teraz do kopania najmował się... mówił, że on pieniądze w skrzyni na strychu chowa...

Chciał mówić dalej, ale przerwała mu Marcysia:

— Patrzaj! patrzaj Władek! — zawołała i wyciągniętym palcem wskazywała coś w powietrzu.

Lubuś wracał z odległej wycieczki jakiś, szybkim lotem zlatywał ku niej i usiadł na jój ramieniu. Ujęła go w obie dłonie i Władkowi podawała.

— Jaki on dobry! — mówiła — wiész? on ciągle za mną lata...

Chłopiec nie patrzył na nią ani na gołębia. Wzrok jego, roziskrzony pod żółtymi brwiami, tonął w gęstwinie domów miejskich, jakby śród niej szukał czegoś i upatrywał. Po ustach biegały mu przelotne uśmiechy.

— *Adie!* — zawołał i, nie spojrzawszy na dziewczynkę, siedzącą z gołębiem w dłoniach, pobiegł ku miastu.

W jesieni i w zimie przychodzić zaczął daleko rzadziej.

Zimowe wieczory gwarnie najczęściej schodziły w chacie Wierzbowej. Posiadała ona liczne stosunki pomiędzy klasą miejskich służących, którzy tóż przybywali do niej tłumnie, to prosząc o nastęczenie służby, to żądając pożyczki, to wprost na pogadankę ze starą i pohulanie sobie u niej w wesołej kompanii. Wierzbowa pogadankę i pohulankę nie unikała. Owszem, służyły jój one za sposób przyciągania ku sobie ludzi, względem których odegrywała rolę pająka, łowiącego w sieci swe muchy i żywiącego się niemi. Powiadano, że zbierała pieniądze; co pewna, to że kupiła już na własność chatę, w której mieszkała, i przylegający do niej ogródek, a w rzadkich chwilach wywnętrzań się opowiadała o marzeniach swych, których celem była mała kamieniczka, wznosząca się na przedmieściu białymi ścianami po nad nizkie, szare domki.

Wieczorami przychodziły do niej niekiedy rówieśnice jój, stare jak ona kobiety, uboższe tylko od niej, zbiedzone i spragnione częstunku, dziewczęta, starające się o służbę, praczki, kucharki, lokaje i stangreci. Towarzystwo to obsiadało długi stół, u ściany stojący i oświetlony lojowym kagankiem, rzucającym pod niski sufit krętą, brudną i cuchnącą

nić dymu. Wierzbowa stawiała na stole butelki z wódką, śledzie, ser twardy, niekiedy czarne kółka kiełbasy i pęk znizanych na sznur obwarzanków. Ludzie jedli, pili, przedewszystkiēm pili, o biedach swych i troskach opowiadali; mężczyźni przepijali do kobiet, z których jedne ze wstrętem i odrazą odrzucały czarki z napojem i wysuwały się z izby, inne wychylały je raźnie, chichocząc i grubemi żartami odpowiadając na grubsze jeszcze zaczepki. Czasem, gdy dobry humor towarzystwa wzrastał, gdy interes jakiś pomyślnie był załatwionym, służba dobra wynalezioną, albo dług dawno zaległy zwróconym został, pośrodku stołu zjawiał się miedziany kociołek, napełniony alkoholycznym wyskokiem, a nad nim zwieszony na stosownym przyrządzie wielki kawał cukru. Wtedy, z nad kotła wybuchał siny płomień palącego się spirytusu, oświecał ściany i wszystkie zakąty izby błękitnawēm światłem, i błękitnawą też bladocśc rzucał na twarze mężkie i kobiece, które, roztarganemi warkoczami otoczone, lub ocienione zmiętami czapkami, skupiały się wszystkie ku środkowi stołu i, przybliżone ku sobie, ciasnym wieńcem otaczały kocioł, pochylając się ku niemu coraz bliżej i, z coraz większēm zachwyceniem w oczach i uśmieszkach, przypatrując się lejącemu się do kotła deszczowi grubych, czerwonych kropel roztopianego cukru. Woń spirytusowa, mocna, upajająca, zmieszana z tłuszczowym dymem lojowego kaganka, rozchodziła się po izbie; cisza oczekiwania panowała przy stole, tylko czarki blaszane brzękały w bardziej niecierpliwych rękach, albo głos jakiś kobiecy zachichotał nagle, albo burknęło półgłosem wyrzeczone przekleństwo.

W wieczory takie, Marcysia siadywała na ziemi pod piecem, przypatrywała się przechodzącym ludziom, słuchała gwarnych rozmów, ściagała oczyma grube i nierządki rozjątrzone giesta, uśmieszyła się z rubasznych żartów i zawiązujących się dokoła stołu ciężkich, hałaśliwych gonitw. Często usypiała w atmosferze tēj krzykliwej, dymnej, przejętēj smrodem loju i odurzającym wyziewem trunku; a gdy błękitny płomień buchnął z kotła, można było spostrzedz w ciemnym kącie głowē jēj, opartą na zwiniętym sienniku i bladą od padającego na nią siniego blasku. Czasem jednak nie usypiała, owszem zdawała się czujnie dopilnowywać chwili, w której gwar był największy i uwaga ogólna najsilniej na jeden punkt zwróconą; wstawała wówczas z ziemi, cichutko zarzucała na głowē i plecy podartą, szarą chuścinę i wysuwała się z chaty.

Tu, zaraz za progiem, ogarniało ją mroźne powietrze zimowēj nocy, śnieg uścielał stok góry, gwiazdy iskrzyły się pod ciemnym niebem, w głębi jaru cicho już było i pusto, jak w grobie, a tylko nad śnieżystą powierzchnią wierzby, niby skielety, wysuwały nagie ramiona, a w dali za rzeką miasto huczało, szumiało i mrugało rojem złotych oczu.

Marcysia schodziła z góry, pomimo śniegu głębokiego, zręcznie, wprawnie, szybko. Schodziła też z wysokiego brzegu rzeki i szła po lodzie, drogą oznakowaną dwoma rzędami czerniejących jodełek. Rozmijała się tu z wielkimi wozami na saniach, ze zgrabnemi, jak błyskawica szybkimi, saneczkami miejskimi, z mnóstwem ludzi, pieszo przebywających lodową drogę, łączącą miasto z przedmieściem. Nic nie przstraszało jēj i uwagi jēj nie zwracało. Czasem tylko, gdy księżyc świecił, zatrzymywała się na chwilę, aby popatrzeć na smugę bladożółtego światła, przeglądającą się w lodzie, jak we szkle, i rozbijającą się na śniegu w milion iskier, jak brylantów. Potēem szła dalej, coraz prędziej przez ulice miasta, pod oknami magazynów, buchających światłem lamp, mimo wszystkich kamienic, za których oświetlonemi oknami brzmiała muzyka; brzegiem chodników, tuż pod ścianami domostw, przesuwała się szybko, jak cień szczupły, trwożny i pokorny, aż stawała przed oknami cukierni, za którymi paliły się lampy, błyszczwały pozłociste bombonierki i rozlegały się miarowe stuk kul bilardowych. Stawała pod jednēm z okien, wspinała się na palce i przykładła twarz do szyby.

Za oknem, w dymnej atmosferze, śród której jak we mgle, mętnie błyskały kinkiety u ścian, ostawionych rzędami żółtych krzesel, rysowały się dokoła bilardu postacie męczyzn, grających i przypatrujących się grze. Wśród nich stał smukły, blade chłopak z kijem na ramieniu i, ściągając oczyma toczące się po zielonēm suknie kule, donośnym głosem wykrzykiwał przeróżne cyfry. Twarz jego nabierała przytēm ruchliwosci niezmiernej, usta wykrzywiały się i uśmieszały, po czole przebiegały zmarszczki, oczy błyskały ciekawością, radością, to złością naprzemian, pod żółtymi brwiami, które drgały niecierpliwie, to zsuwały się chmurnie. Czasem z rumieńcem gorączkowym, wybijającym się na blade jego policzki, i wykrzykując cyfrę jakąś, podskakiwał on i śmiejąc się ukazywał dwa rzędy białych zębów; czasem na mgnienie oka odwracał wzrok od bilardu i pożądl-

wém spójrzeniem ściagał ręce gości, niosące do ust kufle spienionego piwa lub szklanki, napelnione złocistym ponczem.

Dziewczynka, za oknem stojąca, przypatrywała się długo scenie, odbywającej się we wnętrzu cukierni, a na twarzy jój, przyklejonej do szyby, powtarzały się wiernie wszystkie uśmiechy i drgnięcia, przebiegające twarz smukłego, bladego markiera. Nie rozumiejąc dobrze, o co idzie, wraz z nim cieszyła się, gniewała, niecierpliwiła się i pożądała.

Potém goście rozchodzili się stopniowo, u ścian bilardowej sali gasły kinkiety, w cukierni zapanowywała cisza i ciemność. Marcysia odchodziła, przystając jednak na chodniku od chwili do chwili, jakby na coś oczekiwała. Oczekiwanie jój nie zawsze pozostawało bez skutku. Kilka razy zobaczyła Władka, wychodzącego śpiesznie z bramy i pod ścianami kamienic zdążającego w głąb miasta. Próbowwała zawsze dogonić go, lecz szedł tak prędko, że nie mogła; przytém bała się strasznie policyantów, z których jeden pochwycił ją był raz za chustkę i, po długich pytaniach, kim jest i po co włóczy się po ulicach, rozkazał wracać do domu, a na pożegnanie mocno ją pięścią w plecy uderzył.

Rzadko więc bardzo zdobywała się na odwagę dopędzania Władka wtedy, gdy opuściwszy cukiernię, dążył on kędyś pomiędzy spuszczone nad rzekę, wązkie, błotniste, uliczki miasta. Raz jednak szła za nim dłużej, niż zwykle, i zobaczyła go wchodzącego do nizkiej, na-pół rozwalonej budowy, o małych okienkach, osłoniętych zamkniętymi okiennicami. Przez szpary w okiennicach przeglądało palące się wewnątrz żółte, dymne światło, stukały, tak jak i w cukierni, bilardowe kule, szkło brzęczało i taki straszny, gruby, usilnie jakby tłumiony, panował hałas, że dziewczynka z przestachem i z całych sił nóg swoich uciekła. W hałasie, który szumiał za zamkniętymi okiennicami, rozpoznawała znany jój dobrze od lat najmłodszych, głos Franka, i domyśliła się, że był to ów dom przy ulicy Nizkiej, do którego Władek, jak sam jój o tém opowiadał, chodził czasem pohulać sobie, piwka napić się i w bilard szczęścia spróbować...

Kiedy z nocnych wycieczek tych Marcysia wracała do domu, znajdowała drzwi chaty już zamknięte i okna jój ciemne. Jeżeli zimno było bardzo ostre, stawała pod oknem, pukała ostrożnie w szybę i pokornym głosem błagała Wierzbową, aby wpuściła ją do chaty. Odpowiadało jój na to wewnątrz gniewne mruczenie i kłapanie po podłodze przydeptanych trzewików. Drzwi uchylały się, a na plecy wsuwającej się przez nie Marcysi spadało kilka uderzeń pięści silnej jeszcze, choć stariej, wraz z gradem lających wyrazów, półgłosem wymawianych. Wymawiane one były półgłosem dlatego, że w noc podobne, następujące po szumnych, długich, wieczornych biesiadach, izba nie bywała nigdy wypróżnioną całkiem z bawiących się tam przed godziną gości. Dziewczynka, w ciemnościach wyslizgnąwszy się z pod karzącej ją ręki, przypadała w kąciku jakim do nagiej podłogi i usypiała tuż obok ludzkiej twarzy jakiejś, rozpalonej i w ciężkim oddechu zięjącej zapachem wódki, wśród chrapań i szamotań, odzywających się na ławach, pod piecem i stołem.

To też jeśli na dworze mróz nie palił zbyt ostro i wicher nie sypał tumanami śniegu, nie pukała do okna chaty i nie prosiła o pozwolenie wejścia, ale, owinąwszy się jak najszczelniej chustką swą, siadała jak najbliższej ściany i, na mokrym śniegu, z głową opartą o mokre drzewo, usypiała. Zmęczoną była i przywykłą od niemowlęstwa prawie do noclegów podobnych, spała więc mocno. Nadedniem tylko budzić ją zaczynało wzmagające się zimno. Kurczyła wtedy nogi, chowając je pod płócienną spodniczkę, stękała przez sen lub otwierając napół zaczerwienione od zimna powieki i mrużąc się żrenicą patrząc w błękitne świtanie dnia, sennym, przerywanym, skarżącym się głosem szeptać zaczynała:

— Matusiu! matusiu! spójrzcie na mnie z płaczem,
Nie mam ja mojej główki położyć na czém!

Zdaje się, że wtedy przypominała sobie matkę i że z błękitnym świtem, miękko spływającym na białe śniegi, spływało na nią tęskne jakieś, piśczętliwe, łzawe marzenie.

Kiedy miała lat czternaście, zaprzestała całkiem nocnych wycieczek na miasto; zaczęła już snadź doświadczać uczucia wstydu i więcej niż kiedy lękać się tak policyantów, jak przechodniów miejskich, którzy kilka razy zaczepiali ją grubemi giestami i żartami. Władka też widywała coraz rzadziej. Przychodził jeszcze do niej niekiedy, ale roztargniony

był, chmurny, milczący. Zauważyła, że wzrok jego stawał się coraz posępniejszym, śmiech coraz ostrzejszym i hałaśliwszym.

Raz zapytała go:

— Czy stryj ciebie bije!

— Ej nie! — odpowiedział — krzyczy często i łaje, ale dawno już nie bił.

— Czy tobie jeść nie dają?

— Aj, aj! jedzenia u nas po uszy!

— To czegoż ty... taki jesteś...

Nie umiała wytłómaczyć wrażenia, które czyniła na niej twarz jego niespokojna, wciąż jakby gniewna i zniecierpliwiona.

— Jakaś ty głupia, moja Marcysiu, — odrzekł, — tobie się zdaje, że jak człowieka nie biją i jeść mu dają, to on już szczęśliwy i niczego mu nie braknie. Człowiek, moja kochana, ma inne jeszcze potrzeby i żądania, których ty rozumieć nie możesz... ale ja... to co innego! Mnie wszystkie złości biorą, jak sobie pomyślę, że tak mię ludzie haniebnie zaniedbali. Ani nauki, ani wychowania, ani majątku! Co ja będę przez całe życie robił? Stryjowi do śmierci służyć nie myślę i nawet rzucę go prędko, bo niczego się tam u niego nie dochrapię. A potem co? W świat mi iść chyba, gdzie oczy poniosą, i szczęścia lepszego sobie szukać!

Miał lat siedemnaście i mówił językiem dorosłego już człowieka. Marcysia rozumiała go tylko przez pół.

Rozmowy takie trwały zazwyczaj krótko i z upływem czasu zdarzały się coraz rzadziej. Przyszły na koniec długie miesiące, podczas których Marcysia nie widziała Władka ani razu i nawet nie wiedziała, ani gdzie on był, ani co się z nim działo.

Teraz miała już lat piętnaście, nie dzbanem już z krynicy, ale wiadrami z rzeki nosiła wodę bogatszym mieszkańcom przedmieścia. Codziennie przed wschodem słońca, można było widzieć wychodzącą z chaty, u ściany jaru wiszącej, dziewczynę wysmukłą i kształtną, z dwoma wiadrami na ramieniu, zatrzymującą się u szczytu ścieżki. Chuda była i blada, lecz kształtna i ładna. Ubranie jęj, z wyjątkiem płytkiego obuwia, okrywającego stopy, nie różniło się prawie od tego, które nosiła w dzieciństwie. Miewała na sobie zawsze sine, grube spódnice i szarą koszulę, przykrytą niekiedy czerwonawą chustką, skrzyżowaną na piersi. Na głowie, która zwykle z nad ciężkich prząseł wychylała się trochę na przód, nie miewała nigdy nic, oprócz włosów ognisto złotych, gładkimi pasmami otaczających niskie jęj czoło, a z tyłu głowy skręconych w gruby warkocz. U szczytu ścieżki stawała zwykle chwilę z wiadrami swemi na ramieniu, i wzrokiem wodziła po rozwidniających się domostwach miejskich i rozsrebrzającej się wstędze rzeki. Z upływem czasu, czarne oczy jęj stawały się coraz więcej zamyślonemi i głębokiemi; na dnie ich rozpały się ognie natury namiętnej, a wpółdzikięj. Codziennie, różowy gołąb' zlatywał z dachu chaty i unosił się nad jęj głową, lub siadał na jęj ramieniu. Wtedy przestawała patrzeć na miasto i rzekę, zwracając wzrok na ptaka, uśmiechała się i usta jęj przybierały zarys nieskończonej słodyczy.

Mieszkańcy przedmieścia, którym nosiła wodę i do których chodziła, aby plęć ogrody, lub dopomagać w praniu bielizny, tak przywykli widzieć ją z tym gołębiem, unoszącym się nad głową jęj, lub lecącym za nią, że gdy wypadkiem zobaczyli ją bez niego, zapytywali:

— A gdzież twój Lubuś?

Ktoś kiedyś, wskazując gołębia, powiedział śmiejąc się:

— To jęj kochanek!

Obecni żartować zaczęli.

— Będzie ona wnet miała kochanków innych! — mówili, — taka ładna dziewczyna!

Zczerwieńiła się, jak wiśnia, i wlepiła wzrok w ziemię. Ale dnia tego przyszedłszy do domu na obiad, zerwała w ogródku gałąź dzikiego powoju i owinęła ją sobie wkoło warkocza. Potem, przez całą godzinę, którą miała przepędzić w chacie, siedziała u szczytu ścieżki i patrzyła ku mostowi na rzece i przedmieściu. Czekala snadź i wyglądała Władka, który tą drogą przychodzić musiał. Zamiast Władka, zjawił się przecieź z innej strony młody syn bogatego ogrodnika, który ją dnia tego widział z rana, wlepił w nią oczy, gdy rumieniła się i ze szczególną laskawością bawił się długo z jęj gołębiem.

— Panno Marcyanno! — zawołał z dala, — dobry wieczór pannie Marcyannie!

Spojrzała w stronę nadchodzącego przestraszonymi oczyma, zerwała się z ziemi, wpadła do chaty i drzwi za sobą na rygiel zamknęła. Młody i zgrabny chłopiec kołatał do drzwi tych długo, potem odszedł, ale tego samego wieczoru wrócił i, stanawszy za otwartym oknem zawołał:

— Moja pani Wierzbowo! potrzebujemy na jutro dziewcząt do wykopywania warzywa. Czy panna Marcyanna nie będzie mogła przyjść?

— Przyjdzie! przyjdzie! czemu nie? — odpowiedziała z wewnątrz chaty stara i dodała — a czemu to pan Antoni nie łaskaw i do chaty nie zajdzie?

Chłopak jednym skokiem znalazł się w izbie i rozejrzał się po niej z uczuciem zawodu. Marcysi w izbie nie było. O zmroku, gdyienne roboty jej były skończone i Wierzbowa układać się miała do snu, szła ona zwykle w głąb' jaru, gdzie, siedząc pod wierzbami i kołysząc zwolna wiotką swą postać, patrzyła w ciemną, nieruchomą wodę i z cicha nucila:

Cichą wodą, oj wodą, płynie rutka zielona.

W nocce czarnej, oj czarnej, dola moja zgubiona.

Dolo moja, oj dolo, gdzieś się ty podziała?

Czys się w wodzie utopiła, czy w ogniu zgorzała?

Dom bogatego ogrodnika, biały i obszerny, stał naprzeciw chaty Wierzbowej, rozdzielony z nią tylko stokiem góry, kilku przedmiejskimi domkami i rzeką, ku której spuszczał się należący doń rozległy, cienisty ogród.

W ogrodzie tym, wśród grusz i jabłoni, odkrytych pośród liściem, Marcysia, z kilku dziewczętami różnego wieku, stała na zagonach i z czarnej, pulchnej ziemi, wykopywała warzywo. Powietrze było przejrzyste, rzeźwe, osrebrzone niemi pajęczyny, wieszającymi się po drzewach i krzakach; żelazne rydle wesoło pobrzękiwały, uderzając o kamienie, lub twarde bryły ziemi; dziewczęta pracując, gwarzyły, chichotały i przyspiewywały. Marcysia, jak wczoraj gałęz' powoju, tak dziś w warkoczu miała wielką czerwoną georginią. Wywołane zmęczeniem rumieńce, ożywiły twarz jej bladawą i przychudłą. Mniej gadatliwa od towarzyszek, od chwili do chwili nucila pieśni, którymi matka na całe życie już napełniła jej pamięć, a błyszczącymi oczyma rozglądała się dokoła, pomiędzy drzewami i ścieżkami ogrodu. Przychodząc, znalazła tu Franka, który od dwóch miesięcy przyjął był u ogrodnika stałą służbę, a dziś powiedział jej, że wnet — wnet nadbieży do ogrodu Władek, aby pomówić z nim o ważnym jednym interesie.

Nagle przestała nucić i rozglądać się, utkwiała wzrok w ziemi i pilnie kopać zaczęła. Na ścieżce przy zagonach stanął młody syn ogrodnika i przemówił do niej:

— A gdzie jest gołąb panny Marcyanny?

— Został się w domu, — odpowiedziała niechętnie i mrukliwie.

Chłopak, śmiały i z pańska ubrany, zbliżył się i z cicha, żartobliwie przemawiać do niej zaczął. Widząc to, dziewczęta, mrugały do siebie, niektóre spoglądały z zazdrością na ognistowłosą dziewczynkę, która ściągnęła na siebie przychylną uwagę ładnego i bogatego chłopca, a przytém zwykłego nadzorcę ich robót. Ale ona nie odpowiadała na zaczepki, żarciki i grzeczne jego słówka; aż kiedy młody człowiek, schyliwszy się, szepnął jej coś do ucha, zwróciła ku niemu twarz tak rozjątrzoną, z tak gwałtownie iskrzącymi się oczyma, że próbował rozśmiać się, ale nie mógł; rozgniewał się, zląkł się może, aby go przed ludźmi grubiańskim słowem jakim nie zawstydzila, i odszedł. Wtedy Marcysia podniosła głowę, oparła obie ręce na rydlu i z zaciśniętymi zębami zaklęła:

— Żeby go dyabli wzięli z jego żartami i z jego kochaniem! Jak mi do reszty zbrzydnie, to tak dam rydlem, że... popamięta!

W tej samej chwili twarz jej, wzburzona i chmurna, rozjaśniła się i złagodniała. Rysy zmiękły, rumieniec zbladł, usta drgnęły uśmiechem nieopisanéj radości i słodczy. Rzuciła rydel i pobiegła w głąb' ogrodu, gdzie pomiędzy gęstwiną drzew zaszarzały dwie męzkie postacie.

— Władek! — zawołała i zdyszana stanęła przed towarzyszem dzieciństwa swego, którego od roku blisko nie widziała. Zaledwie poznać go mogła. Urósł, zmężniał i miał na sobie czarne ubranie, które jej wydało się wytworném. Stanęła przed nim, jak wryta,

i patrzyła mu w twarz promiennym i zarazem nieśmiałym wzrokiem. On uśmiechnął się też przyjacielsko i z uradowaniem widocznym.

— Jak się masz, Marcysiu! — rzekł. — Oho! jaka ładna zrobiła się z ciebie dziewczyna!

Zapłonila się gorącym rumieńcem, od gładkich pasem złotych włosów, aż po skraj grubiej koszuli.

— Władek! — szepnęła z wahaniem, — jaki z ciebie... zrobił się... panicz!

— A widzisz! — rzekł tryumfująco, — kto za szczęściem goni, ten je i dogoni czasem.

Nie takim ja jeszcze będę kiedyś paniczem.

Przybliżył się do niej i z cicha mówić zaczął:

— Ot jakoś dawno już nie widzieliśmy się z sobą, Marcysiu! A śliczna dalibóg z ciebie teraz dziewczyna! No, prawdę mówiąc, dobraś ty była zawsze i milutka! jak będziesz dziś wracać z miasta, zatrzymaj się przy moście. Ja cię tam spotkam i odprowadzę do chaty. Czy dobrze? będziesz czekać na mnie przy moście?

— Dobrze! będę! — odpowiedziała z cicha.

— A teraz, — dodał Władek, — idź do swojej roboty... ja tu muszę z Frankiem pomówić o ważnym interesie i nie trzeba, żeby, szukając ciebie, mnie tu zobaczyli...

Odeszła i widziała z daleka, jak, ukryci za drzewami i wysokim płotem, dwaj chłopcy rozmawiali ze sobą z tajemniczymi i zarazem ożywionymi gestami, naradzając się niby nad czemś i umawiając. Potem Władek przebiegł koło płotu, niedaleko zagonów, wśród których stała Marcysia. Wesoły był, oczy mu błyszczwały i pogwizdywał z cicha, a spojrzawszy na Marcysię, wykrzywił do niej twarz i podskoczył w ten sposób, jak to miał zwyczaj czynić, gdy był ulicznikiem i chciał ją do serdecznego śmiechu pobudzić.

Po zachodzie słońca, Marcysia stała długo na moście i, wsparta o jego poręcz, patrzyła w głąb ulicy. Niebo spochmurniało, w dole z szumem wielkim szeroko rozlana rzeka toczyła białe piany. Koło niej przechodzili ludzie i mówili, że jutro zapewne rozbiorą i zdejmą most, bo rzeka wciąż przybiera. Ona nic nie słyszała; stała, patrzyła i czekała. Zmrok zapadł... przechodzień jakiś przesunął się blisko niej i usiłował w twarz jej spojrzeć. Odwróciła się prędko i uciekła.

Biegła na górę i coraz jeszcze oglądała się za siebie.

— Oj Boże ty, mój Boże! — szepnęła, — nie przyszedł! nie przyszedł! taki nie przyszedł!

U szczytu już prawie góry zaskoczyła jej drogę mężka jakaś postać i w mgnieniu oka otoczyła ją ramionami.

Dziewczyna zaszamotała się i krzyknęła:

— Puśćcie mnie! czego wy chcecie ode mnie! puśćcie!

— Oho! — odparł młody syn ogrodnika, — że nie puszcę teraz, to nie puszcę! Nie na toś ty taka śliczna, żeby...

Nie skończył, bo ramię jakieś silne i rozgniewane pochwyciło go za odzież i odtrąciło daleko.

— Władek! — zawołała dziewczyna.

— Cicho! — odpowiedział, — nie krzycz! chodź!

Wziął ją za rękę i prowadził ku jarowi, w którego głębi zniknęli oboje.

Syn ogrodnika tymczasem zapukał z lekka do oświetlonego okienka chaty.

— Mam interes do pani Wierzbowej, — zawołał.

— Proszę wejść! — odpowiedziała.

Wszedł, usiadł obok stariej na ławie i zaczął jęć o czemś szeptać tajemniczo i długo. Parę razy schylił się i pocałował ją w ramię. O coś prosił, coś obiecywał... Wierzbowa wstrząsała głową żartobliwie niby i pobłażliwie, uśmiechała się, to znowu gniewała się jakby i groziła...

W téjże chwili, w jarze, pod wierzbami, w grubym mroku, wśród którego mdłym światłem pobłyskiwała tu i owdzie woda sadzawki, Marcysia i Władek rozmawiali z sobą stłumionym szepciem.

— Coś ten frant Antek bardzo bierze się do ciebie! — szepnął naprzód chłopiec.

— Bierze się! — odszepnęła dziewczyna.

— No a ty? — zapytał śpiesznie.

— A niech go licho porwie! — sarknęła, — żeby on wskrósł ziemi przepadł!

Chciała dalej mówić, ale przerwał jęć z gniewnym wzburzeniem:

— Niech cię Pan Bóg broni, żebyś go kiedy posłuchać miała! Kiedy ci będzie drugi raz drogę zabiegał, krzycz w niebogłosy i bij go! bij obiema pięściami! tłucz, ile możesz! oczy wydrapuj! tobie niewolno chłopców słuchać! ty moja! słyszysz!

Otoczył ją ramieniem.

— Ty moja! — powtórzył, — to nic, że ja do ciebie rzadko przychodziłem i ot teraz, cały prawie rok się nie widziałem. Czasu nie miałem... o sobie wciąż myśleć muszę i o przyszłości, ale zawsze ty mnie w oczach stała... niby siostra... Bywało, oczy do snu zamykam i wnet widzę ciebie przed sobą... jak żywą... Czasem, kiedy bardzo gniewałem się na świat, ludzi i swoją lichą dolę... cyt! słucham... jakbyś ty mnie nad uchem piosnki swoje śpiewała i zaraz lżej się robi na sercu... a dziś, kiedy ciebie zobaczyłem taką już wyrosłą i ładną, to tak mi się zrobiło, jak gdyby Pan Bóg kawałeczek nieba swego w oczy mnie spuścił... Tobie Antka słuchać niewolno! ani nikogo! ty moja!

Przycisnął ją mocno do piersi i pocałował w czoło i usta. Dziewczyna milczała jak grób, tylko ramiona oba owinęła wokół jego szyi i twarz do twarzy jego przycisnęła.

— Widzisz? — szepnęła, — my z tobą znamy się tak dawno... dawno... dawno...

— Oj dawno i na całe... caluteńkie życie! — odszepnęła z wolna.

— Pamiętasz, jakieś się kiedyś w sadzawce topiła, a ja cię z wody wydobywał i na drzewie sadzał, abyś oschła?

Zaśmieli się oboje.

— Pamiętasz, jakieśmy tu pod drzewami temi sypiali razem... i jakieś mi bajki swoje opowiadała? Matka twoja nie powróciła?

— Nie powróciła. Zapłała się gdzieś pewnie, taj pod płotem zmarła.

Chłopak wstrząsnął głową.

— Sieroty my oboje bez matki ni ojca; byliśmy i jesteśmy... ja to tylko dam sobie radę na świecie, ale ty...

— Ja z tobą! — odpowiedziała.

Ramię jego osunęło się z jój kibici. Wyprostował się i zeszywniał.

— Aha! ze mną! — rzekł z ponurym szyderstwem i zamilkł.

Milczeli oboje długo. Dziewczyna spytała pierwsza:

— Władek! czegoś ty raptem zrobił się... taki jakiś?

Nie odpowiadał chwilę.

— No, — zaczął potem, — widzisz! człowiek to zawsze tak! Dopóki coś strasznie daleko jest, to niby nic, a jak zbliża się, to trwoga i desperacja zdejmuje... Dziś zrana, ja był wesoły jak w raj, a teraz... ot, wołał-bym, żeby to jeszcze za dziesiątym mostem było!

— Co? — zapytała.

— Na co ci to wiedzieć, — ofuknął popędliwie, — milcz i nie pytaj... Kiedy uda się, przyjdę tu, zabiorę ciebie i pojedziem razem na skraj świata, a kiedy nie uda się, to... tyle mnie oczy twoje widzieć będą! Już tak! Król albo Cygan! nie czekać mi dłużej na szczęście, tylko iść i samemu brać, a jeżeli nie da się wziąć, buch w niedolę czarną! jak kamień w wodę!

Ostąpiła ze zdziwienia; słuchała urywanych słów jego, nic a nic ich nie rozumiejąc. Trwoga nieokreślona ścisnęła snadź jój serce, bo znowu zarzuciła ramiona na szyję towarzysza i usiłowała wśród ciemności spojrzeć mu w twarz. Zobaczyła, że rysy jego sztywne były, a spuszczone oczy nieruchomym wejrzeniem patrzyły w wodę. Tknięta jakby przypomnieniem nagłym, szepnęła:

— Pamiętasz? jakieś się skarżył przede mną, że matka cię odumarła, a ojciec rzucił i że ci źle bardzo przy ciotce... zawsze wtedy tak samo w wodę patrzył, jak teraz!

— Bodaj-bym się był wtedy utopił! — wyrzekł głucho.

— Aj! Władek! Władek! — krzyknęła.

— Cicho! nie krzycz! ja chciał-bym, żeby od tego momentu aż po jutrzejszy ranek, cicho było wszystko na świecie, jak... na mogiłkach... i żeby ludzie wszyscy posnęli, jak umarli... Skarżyłem się na sierotwo moje i na te kułaki, które mi cieotka plecy okładała, i na głód, i na chłód, i w wodę wtedy patrzyłem, a ty co? ty wtedy żałowałaś mnie... sierotą będąc, tak jak ja... agrest mi na pocieszenie przynosiłaś, bajki gadałaś i bułki wyzebrywałaś... dobraś ty była... ja tobie tego nigdy nie zapomniał i dziś, kiedy na ciebie spojrzałem, wszystko mi odrazu w oczach stanęło... ty moja!

I znowu objął ją w uścisk silny, namiętny, a usta swe do ust jój przybliżył, ale nagle wyprostował się i ramiona mu opadły. W dali, kędyś koło rzeki, rozległo się przeciągłe, ostre gwizdnięcie.

— O! już woła! — szepnęła, — Franek woła — i zrobił ruch taki, jakby chciał zerwać się z ziemi. Nie zerwał się jednak.

— Jeszcze troszkę, — rzekł, — jeszcze troszkę przy tobie posiedzę...

Po chwili zapytał:

— Marcysiu! kiedy ty śpisz najmocniej? czy nade dniem?

— Nade dniem, — machinalnie powtórzyła.

— Wszyscy ludzie najmocniej śpią nadedniem... ogrodnicyzsko stare i ten jego frant synalek na chrczyny się gdzieś powloką... Franek zostaje pilnować domu... no i kucharka jeszcze jest, i dwóch parobków... ale oni się pośpią nadedniem, jak kamienie... prawda?

— Prawda, — szepnęła, nic a nic słów jego nie rozumiejąc, ale drżąc od stóp do głowy. Trwoga ją zdejmowała coraz większa, obu rękoma pochwyciła go za odzież.

— Władek! Władek! — szepnęła gwałtownie, — dlaczego ty taki dziwny? co ty sobie myślisz? co to będzie?...

Wstał, i ją, za obie ręce ująwszy, z ziemi podniósł. Oczy jego świeciły wśród mroku przenikającym blaskiem, twarz wydawała się bladą, jak papier.

— Co będzie? — odpowiedział, — a ot co: albo zabiorę ciebie i pojedziemy razem na daleki wojaż... albo... już mnie nigdy nie zobaczysz... pocałuj-że mnie teraz... mocno...

Nad brzegiem sadzawki, która była świadkiem całego ich dzieciństwa, pod wierzzbami, które teraz sypały na głowy ich deszcz drobnych kropel, splotły się ramiona, i w zmroku grubym, w ciszy głębokiej, z szumem drzew, mieszał się długo szmer pocałunków.

Wtém gwizdnięcie u brzegu rzeki powtórzyło się przenikliwiej jeszcze, ostrzej i przeciągliej, niż wprzódy.

— Bądź zdrowa, — pośpiesznie nad płonącym czołem dziewczyny szeptał Władek, — a pamiętaj mi Antka nie słuchać... i jeżeli ja prędko nie wrócę... zaczekaj na mnie... zaczekaj, choćby długo... i nie myśl sobie, że już ja taki ostatni jestem... zbrodniarz... Żebyś inaczej urodził się, potrafił-bym może być takim samym poczciwym, jak te różne kpy, co po świecie prosto sobie chodzą, bo im ludzie gładziutko ścieżki wypracowali! Widzisz... mogłem cię zgubić dzisiaj... nie chciałem... boś dobra była dla mnie... a ludzie jacy dla mnie byli? Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie! Bądź zdrowa!... Jeżeli wrócę, kupię tobie suknię jak słońce, i trzewiki jak korale, i na czerwonym krześle przed złotym oknem cię posadzę... a sam... od rana do wieczora całować cię będę... Bądź zdrowa!

Pobiegł w górę jaru i zniknął w ciemnościach.

Nocy téj Wierzbowa, która, ze starości zapewne, a jak ludzie utrzymywali, z powodu niespokojnego sumienia, źle zazwyczaj sypiała, kilka razy sennym i burkliwym głosem odezwała się:

— Marcysiu! nie stękać tak! spać nie dajesz! Marcysiu! a toż co? czy ziela jakiego napiłaś się, że ci dzisiaj snu niema! Wzdycha a stęka, a przewraca się...

Dziewczyna wzdychała istotnie i przewracała się wciąż na sienniku swym, leżącym na ziemi pod piecem, usypiała chwilami i we śnie szamotała się i stękała. Nade dniem, gdy Wierzbowa zasnęła mocniej, wstała z siennika, włożyła spodnicę, skrzyżowała chustkę na piersi i cichuteńko podeszła do okna. Świtało. Wpatrzyła się w świt błękitny zaczerwienionymi od bezsenności oczyma i, wsparłszy twarz na dloni, zadumała się głęboko. Marzyła snadź, wspominała i zarazem lękała się czegoś srodze. W głębokich żrenicach jój przesuwał się z kolei wyraz rozkoszy, czułości i niepokoju. Nagle zdało się jój, że usłyszała za rzeką krzyk jakiś. Podniosła głowę i nastawiła ucho. Istotnie krzyczano gdzieś w pobliżu rzeki. Nie powinno-by to jój wcale obchodzić... wszak z miasta dolatywały tu o różnych porach różne hałasy. Jednak porwała się z miejsca i, zapominając o wszelkich ostrożnościach, wybiegła z chaty. Stanęła u szczytu ścieżki. Wrzawa, złożona z kilku czy kilkunastu krzyczących głosów ludzkich, trwała jeszcze, chociaż już słabła. Dolatywała ona wyraźnie z za rzeki, od białego domu ogrodnika. Zakończyło ją kilka urwanych okrzyków i wszystko zapadło znowu w milczenie snu głębokiego, który panował jeszcze na mieście i przedmieściu.

Marcysia rzuciła ręką.

— Co mi tam! — rzekła.

Usiłowała zapewne przekonać samą siebie, że wrzawa około domu ogrodnika nie miała nic wspólnego z niepokojem jój, z którego zresztą przyczyn sprawy przed sobą zdać nie mogła. Przez całą noc majaczyły jój w myśli niezrozumiałe dla niej słowa Władka, i teraz znowu zjawily się w jój pamięci.

— Co on sobie myślał? — szeptała, — czemu on był... taki jakiś? co to będzie? co to będzie?

Drobny, gęsty deszcz jesienny padać zaczął. Weszła do chaty i niebawem wyszła znowu z wiadrami na ramieniu, w starój chustce, zarzuconej na głowę.

Niebo było pochmurne, deszcz padał ciągle, to silniejszy, to słabszy; Wierzbowa nie poszła do miasta i Marcysi nie kazała iść na robotę. Dziewczyna, uprzątnawszy izbę i zgotowawszy śniadanie, postawiła przy piecu balią z wodą, i trochę grubej odzieży prac zaczęła. Do izby weszła stara kobieta, trudniąca się roznoszeniem mleka po przedmieściu.

— Czy nie kupicie dziś odrobiny mleka? — zapytała z progu.

— I owszem, — odpowiedziała Wierzbowa, robiąc przy oknie wełnianą pończochę, — dajcie kwaterkę!

Kobieta weszła, i konewkę z mlékem przykrytą od deszczu płachtą płócienną, stawiając na ławie, zaczęła:

— A wiecież o nowinie?

— O jakiej nowinie? — ciekawie zapytała Wierzbowa.

— A no, pana ogrodnika, tego... co to za rzeką... bogaty taki, złodzieje okradli tej nocy!

— Jezus, Marya! okradli i cóż?

— A cóż? złapalić jednego, ale tego właśnie, który pomagał tylko i puste ręce miał, a drugi z pieniędzmi uciekł... Ponoś ogrodnik był z synem kędys na chrzcinach, parobcy pospali się... ale nade dniem jeden obudził się i światło na strychu zobaczył... a strych był pod kluczem i okna z żelaznymi kratami...

— No, to jakżeż się oni tam do niego dobrali?

— Zwyczajnie, domowa sprawa, dobrodziejko! Własny ot chłopiec ogrodnika, ten ponoś nic dobrego, Franek, był tam robotnikiem głównym.

— A tobież-co? — krzyknęła Wierzbowa, wpatrując się w Marcysię, która w tej chwili wypuściła z ręki blaszane naczynie, w które mleczarka wlewała mleko, i stanęła jak skamieniała.

— Ot i mleko rozlała! — wyrzekła stara, — czy nieczysty ją opętał... całą noc spać mi nie dała, stękając wciąż a wzdychając, teraz, ot, ręce jój raptem zesłabły...

— Może chora? — zagadnęła mleczarka.

— A może, — obojętnie rzuciła Wierzbowa, i dalej ubolewać zaczęła nad rozlaném mlékem.

Po chwili rozmowy mleczarka odchodziła, Wierzbowa zawołała za nią.

— A nie wiecież, matko, kto-to był ten drugi?

— Jaki drugi?

— A ten, którego złapali?

Teraz Marcysia pochyliła się nad balią i tak silnie pocierać zaczęła grube szmaty, że aż woda wylewała się przez wszystkie brzegi.

Mleczarka odpowiedziała już z za progu.

— A nie wiem, dobrodziejko, nie wiem. Com zasłyszała, tom powiedziała... więcej nie wiem. Niech będzie pochwalony...

Odeszła, drzwi chaty zamknęły się; Marcysia nad balią schylona, jęknęła przeciągle. Wierzbowa przenikliwie spojrziała na nią z za okularów, lecz nic nie powiedziała.

Po godzinie prania dziewczyna roznieciła ogień, przystawiła do niego garnki ze strawą i wybiegła z chaty. Stała długo u szczytu, z oczyma wlepionymi w miasto, potem iść ku niemu zaczęła. Wróciła jednak. Pieka ją snadź trwoga jakaś nieokreślona, dręczyły przypuszczenia i domysły straszne; lecz nie wiedziała, ani gdzie jest ten, o którego lękała się, ani gdzie go w dużém i ludném mieście szukać miała. Wróciła do chaty, błada jak płótno, strawy obiadowej ani tknęła, a kiedy Wierzbowa, spoglądając na nią z pod oka, zjadła obiad, zwróciła się twarzą ku otworowi pieca i osłupiałem okiem patrzyła w płomień. Ręce jój drżały, chwilami wstrząsała się cała od stóp do głowy, uderzana, niby

prądem elektrycznym, błyskawicznie przelatującym, ale wciąż wracającym, okrutną jakąś myślą. Tymczasem krótki dzień jesienny miał się ku końcowi. Zmierzch był bliski, gdy za oknami chaty przeniknęła się szybko zgrabna postać młodego mężczyzny, i do izby, z loskotem drzwi otwierając, wpadł syn ogrodnika.

— Nie mogłem piérwój przyjść! — zawołał zaraz z progu głosem zadyszonym od szybkiego chodu, — a spieszyłem się... tyle dziś u nas kłopotów, no! po uszy!

Zwrócił się do Marcysi.

— Winszuję ulubionego... gągatka! Przepadałaś, słyszę, za nim... przepadaj-że i teraz, kiedy możesz. Złodziej on! złamał zamek, wlaź na strych i ukradł ojcu pieniądze!

Krwawy rumieniec wytrysnął na bladą twarz dziewczyny.

— Kłamiesz! — krzyknęła.

— Któż to? kto taki? kto? — wołała Wierzbowa, nie rozumiejąc jeszcze, lub usiłując nie rozumieć.

— A któż? aściny wychowaniec, a jój... kochanek! — odrzekł młody chłopiec, i śmiejąc się na-pół ze złością, na-pół z zadowoleniem, usiadł na ławie.

— Kłamiesz! — ciszej jednak, niż wprzódy, powtórzyła Marcysia, rękę trzymając już na kłamce drzwi, a chciwie oczy zatapiając w twarzy mówiącego.

— Ale! — odpowiedział, — piękne kłamstwo! prawda to, jak złoto i jak dzień! Przecież złapali go tuż prawie pod domem i zaraz przyznał się... Cały już dzień siedzi w policyi, a ot teraz, w tym momencie może, prowadzą go do turmy.

Dziewczyna wypadła z izby i jak błyskawica przebiegła pod oknami chaty. Nikt jój nie gonił.

— Niech leci sobie, — szepnął syn ogrodnika, — teraz już pewno nie dopuszczą jój do niego.

Wierzbowa milczała. Coś, jakby wstyd czy żal zamykał usta jój i w dół opuszczał powieki.

Marcysia przybiegła nad brzeg rzeki zdyszana, bez głosu. Most do połowy już był rozebrany i przejść przez niego nie było sposobu. Promu jeszcze nie zaciągnięto na rzekę. Wielkie czółno, w miejscowym języku zwane *czajką*, odpływało od brzegu.

Dziewczyna schwyła się za piersi, i ochryplym a jednak przeraźliwym głosem krzyknęła:

— Czajka! oj! czajka! wróćcie się! jeżeli Boga macie... w sercu.

Ostatni wyraz wymówiła zaledwie już dosłyszalnie, ale z razu głos jój brzmiał taką rozpaczą i takim błaganiem, że ludzie, kierujący czółnem, zwrócili je ku brzegowi. Wskoczyła w czółno i opadła na dno jego bezsilna; zaledwie jednak dopływać ono zaczęło do przeciwnego brzegu, porwała się i wyskoczyła z niego w wodę. Czółno posuwało się dla niej z powolnością, zupełnie do wytrzymania niemożliwą. Nie zważając na krzyki, ostrzeżenia i pogroźki, które rozlegały się za nią, brnęła w wodzie po pas, po kolana, potem wyskoczyła na brzeg, i jak wicher pobiegła ku środkowi miasta.

Wiedziała, gdzie znajdował się budynek, w którym pod strażą policyi przytrzymywano złoczyńców przez czas wstępnego dochodzenia śledczego, a przeciw której stał wielki, ponury, okratowanymi oknami z za wysokich murów wyglądający, gmach więzienny. Wpadła na ów plac miejski i stanęła jak wryta.

Przez plac, od budowy zarządu policyjnego ku więziennemu gmachowi, posuwała się szybko grupa ludzi, złożona z kilku żołnierzy uzbrojonych i idącego pośród nich człowieka. Wysoko ku górze sterczące bagnety, suchemi, czarnymi liniami przerzynały zmrok zapadający i mgłę drobnego deszczu; wśród nich ukazywał się chwilami, to znikał znowu, profil twarzy, ocienionej zmiętą czapką, bardzo młodej, bardzo bladej i pochylonej nisko. Marcysia biedz zaczęła z całej siły ku sunącej placem grupie ludzi. Dogoniła ją przed samymi drzwiami więzienia, i z giętkością węża wśliznęła się pomiędzy żołnierzy.

— Władek! — krzyknęła, obu rękoma czepiając się młodego winowajcy.

Obejrzał się, spojrzął na nią. Zobaczyła, że wzrok błyszczał mu ponuro, że usta mu drgały, że chciał powiedzieć coś do niej — i nic więcej, bo żołnierze odepchnęli ją tak, że aż upadła na bruk chodnika, a więźnia wprowadzili w ciemną, głęboką, sklepioną bramę, za którą wnet zamknęły się ze stukiem i zgrzytem, wielkie, okute żelazem, drzwi.

Upadła na bruk chodnika, przycisnęła czoło do muru, i ręce utopiwszy we włosach, krzyknęła wielkim płaczem.

— Czego krzyczysz? idź precz! — ozwał się nad uchem jój głos przechodzącego policyanta.

Targnął ją za ramię.

— Idź ztąd precz! — powtórzył.

Ucichła w gnieniu oka, ale głowy od muru nie odrywała. Policyant pochwycił ją wtedy za oba ramiona i podniósł z ziemi. Szamotała się mu w rękach i stłumionym głosem szeptała:

— Już będę cicho... cichuteńko! pozwólcie mi tylko tu zostać — Pochyliła się i zaczęła mu ręce okrywać pocałunkami.

— Pozwólcie... oj... pozwólcie... jedno słówko, słóweczko mu powiem tylko... jeden razik tylko na niego spojrzę... pozwólcie!

Być może, iż człowiek ten z litością na nią patrzył, w mroku nie można było dojrzyć wyrazu jego twarzy. Szorstkim jednak i stanowczym głosem odpowiedział:

— Nie można! czy zwaryowałaś, dziewczyno? Ruszaj-że sobie ztąd, a to... do policyi zaprowadzę...

A gdy jeszcze nie odchodziła, obu rękoma czepiając się drzwi więziennych i z całej siły swój tuląc się do muru, uderzył ją w plecy pięścią, i jednym rzutem silnego ramienia precz, aż prawie na drugą stronę ulicy odrzucił.

Upadła znowu na kamienie bruku, ale wnet podniosła się, i kulejąc trochę, szybko jednak bardzo odbiegła. Przypadła do brzegu rzeki, sama nie wiedząc, jak i kiedy, wsiadła do *czajki*, a gdy przy wysiadaniu usłyszała głos przewoźnika, upominający się o kilka groszy zwykłej opłaty, zerwała z głowy i ramion starą chustkę, rzuciła mu ją i popędziła dalej pod górę, ku chacie Wierzbowej.

Okienka chaty mrugały z dala śród mgły deszczowej czerwonawem i sinem światłem. Wierzbowa miała snadź gości, którzy bawili się i raczyli u niej wedle zwyczaju...

Istotnie w izbie, przy długim stole, oprócz gospodyni domu siedziała jeszcze mleczarka, która dnia tego z rana przychodziła z mlekiem i pierwszą o zaszłém zdarzeniu wieścią; stara kabalarka z przedmieścia, przychodząca tu od czasu do czasu z talią kart otłuszczonych; dziewczyna jakaś wysoka, ponura i rozczochrana; dwóch mężczyzn brodatych i jedna jeszcze kobieta chuda, żółta, z zaczerwienionemi oczyma, w podartém odzieniu, istny obraz nędzy brudnej, cynicznej, ostatecznej. Na tę ostatnią kobietę zwracała się widocznie uwaga ogólna. Wszyscy patrzali na nią, kiwając głowami i rzucając rozmaite pytania i wykrzyki.

— No, no! — mówiła Wierzbowa, — wróciliście! *taki* wróciliście! a ja myślałam, że kędyś pod płotem wódka spaliła was, albo psy rozszarpały!

— Oj! aj! — zawołała kabalarka, — toć-że ja jój przed wyjazdem jeszcze wróżyłam, że ani chybi powróci...

Rozczochrana, ponura dziewczyna mruknęła.

— Co jój z tego, że wróciła? jaka była, taka jest.

Mleczarka wzdychała:

— Ot, że to grzesznikowi Pan Bóg łaski swój nie okaże, aby nawrócił się!

Jeden z mężczyzn zaśmiał się na całe gardło.

— Imość nawrócisz się, jak szklanicę spirytusu wychylisz...

Ołachmaniona żółta kobieta patrzyła na otaczających i przemawiających do niej ludzi omglonemi oczyma i z ckliwym uśmiechem na wygiętych, pokurczonych ustach. Nie była już zupełnie przytomną.

— Ot, wróciłam! — zaczęła, — otóż wróciłam! do Marcysi mojej, do doni mojej... do dziecka mego rodzonego wróciłam... niech ją jeszcze oczy moje raz przed śmiercią zobaczą!...

— Ucieszy się donia, jak matulę taką zobaczy! — mruknęła rozczochrana dziewczyna.

Elżbietka zapuściła rękę w kieszeń spodnicy, opadającej z niej łachmanami, i wyjąwszy z niej brudną szmatkę płótna, zaczęła drżącymi palcami rozwiązywać róg jój, związany w węzełek. Rozwiązała i wydobyła kilka miedziaków, które rzuciła na stół.

— Matulu! dobrodziejko moja! — zawołała do Wierzbowej, — sprawcie bal... zapalcie spirytusu odrobinę... niech sobie dawne czasy... lepszą dolę przypomnę...

Mętnym swym wzrokiem zaczęła poglądać w kąty izby, i bełgotliwie, piskliwie nucić:

— Oj doło moja, doło! gdzie ty się podziała,
Czyś w wodzie utonęła, czy w ogniu zgorzała?

Wierzbowa trzymała na dłoni rzucone jój miedziaki.

— Co ja z tém zrobię? — pytała, spoglądając po obecnych.

Obecni sięgnęli do kieszeni, i wnet na stół posypały się dziesiątki i złotychki.

W parę minut potem, pośrodku stoła zjawił się kociołek miedziany, z którego buchnęło błękitne płomień. Szukając cukru kędyś za piecem, Wierzbowa zapaliła łuczywo i wtknęła go w szczelinę ściany. Izba zagorzała cała od świateł czerwonych i sinych, w rękach Wierzbowej dzwignął pęk blaszanych czarek, rozczochrana dziewczyna, zarzuciwszy ramię na szyję jednego z mężczyzn, pochyliły się ku kotłowi, a kabalarka i mleczarka trzymała za spodnicę i chustkę Elżbietkę, która wyrywała się im, wołając:

— Pójdę! ot, pójdę szukać jój... Marcysi mojej... doni mojej najmilszej... Czym ja tego spodziewała się, żeby jój tu nie spotkać! prędzej ja śmierci spodziewała się, jak że jój tu oczy moje nie zobaczą...

Nachyliła się ku Wierzbowej, i w ręce ją całować usiłowała.

— Matko moja! — coraz płacliwiej mówiła, — miła moja! dobrodziejko moja! powiedzcież mnie, gdzie Marcysia? gdzie dziecko moje, com ja wam na opiekę waszę macierzyńską zostawiła! Ja biedna, zgubiona kobieta, szłam w świat, żeby dla niej dobrą dolę zapracować!...

I przeraźliwie, piskliwiej jeszcze niż wprzód, zawiodła:

— Oj doło moja, doło! gdzie ty się podziała,
Czyś w wodzie utonęła, czy w ogniu zgorzała?

W téj chwili z łoskotem roztworzyły się drzwi izby, w progu stanęła Marcysia i krzyknęła:

— Ratujcie! oj ludzie! kiedy w Boga wierzycie, ratujcie!

Błada była jak trup i tak przemokła, że spódnica oklejała się jój w koło nóg, a włosy, które rozplotły się, mokremi pasmami zakrywały jój czoło, plecy i piersi.

Wierzbowa i Elżbietka rzuciły się do niej; pierwsza z gniewem i ciekawością, druga z rozwartymi ramionami i rozognionym wzrokiem.

Marcysia przypadła naprzód do rąk Wierzbowej i, całując je, wołać zaczęła:

— Ratujcie go! jeżeli w Boga wierzycie, ratujcie! do turmy go poprowadzili... za temi drzwiami przekłętymi posadzili... oj!

Schwyciła się za serce, wyprostowała się, i w téj chwili dopiero spostrzegła matkę. Nie wiadomo, czy poznała ją od razu, czy w umyśle jój mignęło tylko mętne przypomnienie dawnych rysów matczynych, ale umilkła i szeroko oczy otworzyła.

Elżbietka ogarniała ją trzęsącemi się ramionami.

— To ja, doniu moja, — mówiła, — ot widzisz... to ja... powróciłam do ciebie... No, obejmij-że mnie rączkami swojemi... przytul do siebie moję główkę biedną... oj! nawalała się, nawalała główka moja po niedobrym świecie... niech teraz przy doni swojej minutkę odpocznie...

Przyłożyła pomarszczoną, rozcierwienioną twarz swą do twarzy córki, i ustami, zięjącami zapachem wódki, ust jój szukała. Ale dziewczyna odskoczyła gwałtownie, przyparła się plecami do ściany, i wpatrzyła się w nią wzrokiem przerażonym, rozjątronym, ponurym. Elżbietka zbliżała się znowu do niej. Na nieprzytomnej twarzy jój zjawiło się coś, jakby żal, jakby usilna praca myśli i pamięci. Zaczęła kiwać głową, i kilka razy uderzyła się w piersi.

— Nie dotrzymałam, doniu, — wołała, — nie dotrzymałam obietnicy, którą tobie i Panu Bogu zrobiłam... Chciałam poprawić się i... nawrócić się... i nie mogłam... Przekłeta wódka ciągnęła i ciągnęła Rok cały ani do gęby nie wzięłam i już po wszystkiém... i jeszcze gorzej... Oj! Marcysiu ty moja... doniu moja! nie gniewaj się ty na mnie... w sercu mnie robak toczył, a w głowie smutne pieśni szumiały... czarna, jak ta nocka jesienna, była dola moja...

Dziewczynie jęknęło coś w piersi i załkało, łagodne, blade jak płótno, usta jej drgnęły gorzkim, rozpaczonym uśmiechem. Odwróciła się od matki, i z załamanymi rękoma zaczęła chodzić po chacie, wołając:

— Biedny mój Władek! biedny, biedny mój Władek!

Strumień łez rzucił się jej z oczu, a piersi zdawało się, że pękną wnet od łkania.

Obecni poglądali na siebie ze zdziwieniem i napoty z litością, napoty z szyderstwem.

— Ot rozkochała się! — wyrzekła głośno rozczochrana dziewczyna.

— Biedactwo! — westchnęła mleczarka.

— A jak to wygląda, — zauważył jeden z mężczyzn, — gdyby topielica!

Usłyszawszy ostatni wyraz, Marcysia stanęła i wpatrzyła się znowu w matkę. Coś się jej przypomniało, coś w głowie jej zaszumiało, bo, ze wzrokiem szklistym, machinalnie, monotonnym głosem, mówić zaczęła:

— Topielice na dnie wody spokojnie sobie leżą... w pachnące ziele owinięte, złotym piaskiem przysypane.

Podniosła rękę do głowy i rzuciła się ku drzwiom.

— Trzymajcie ją, a to utopi się jeszcze, — krzyknęła Wierzbowa.

Jeden z mężczyzn pochwyił ją, i opierającą się przyciągnął ku stołowi. Trzęsła się z zimna od stóp do głowy, i łamiąc ręce, cicho już szeptała:

— Biedny mój Władek! biedny, biedny, biedny!

— Ot, dajcie jej napić się, — rzekła kabalarka, — a to febrы, albo, broń Boże, i gorączki jakiej z przemoknięcia dostanie!

— No pij! a przestań skandale tu dokazywać i ludzi straszyć, — mówiła Wierzbowa, nalewając do czarki zaprawny cukrem spirytus.

Elżbietka, roztwierała przed nią w pół-bezwładne ramiona, i chwiejąc się na nogach, bełkotliwie szeptała:

— Pij doniu, pij! to dobre na robaka lekarstwo! Zapomnisz, taj zaśniesz sobie!

Czy w tej chwili zagrała w żyłach jej krew matki pijaczki, czy niewysłowionym czarem uśmiechnęła się do niej nadzieja zgaszenia tego bólu, który piekł jej piersi, czy, pijana już rozpaczą, nie wiedziała dobrze, co robić?... porwała z trzęsącą się ręką matki czarę, pełną dymiącego napoju, i wychyliła ją do dna.

— Aj! — jęknęła, chwytając się za piersi i gardło, ale w mgnieniu oka na śmiertelnie bladą twarz jej wybuchnął rumieniec, oczy splakane oschły i zaiskrzyły się, jak czarne brylanty. Uczuła snadź ulgę, bo wyciągnęła rękę.

— Dajcie więcej, — zawołała.

Elżbietka płakała.

— Oj, doniu moja — szeptała, szlochając — taka już widać doła twoja będzie jak i moja!...

Ramię z którego opadały lachmany rękawa, wyciągnęła ku kotłowi, napełniła czarę drugą i podała ją córce.

Wypiła znowu i opadła na ławkę. Przycichła, znieruchomiała. Rysy jej zmiękły, błędny uśmiech przewinął się po rozczzerwienionych, jak korał, ustach. Mętym wzrokiem wodząc chwilę po obecnych i jakby sobie coś przypominając, westchnęła głęboko, załkała bez łez i żalącym się drżącym, przyciszonym głosem śpiewać zaczęła.

— Pod drzewem przy drodze

Spało sierot dwoje,

Drzewo się... złamało...

Zabi... ło... obo... je...

Ostatni wiersz śpiewu zaledwie dosłyszalnie z ust jej wypłynął. Pochyliła głowę na stół i zamknęła powieki.

Upiła się.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sielanka-nierozowa>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer*, tom III, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0650-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).